

PISMO DLA RODZIN.

№ 14. Warszawa, dnia 27 Marca (8 Kwietnia) 1875 roku. Rok 11.

CENA PRENUMERATY

Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.	
rocznie. . . .	rs. 6 k. „	rocznie . . .	rs. 8
półrocznie. .	„ 3 „ „	półrocznie .	„ 4 k. „
kwartalnie. .	1 „ 50	w Austryi roczn.	14 guld.
miesięcznie .	„ 50	w Prusach „	24 marek.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy: w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12 w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 15.

OMANKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Jana Zacharjasiewicza.

(Ciąg dalszy.)

— Skarżyłeś się pan na obfitość kwiatów, która zgubnie wpływa na pamięć o tych kwiatach!... Ale samotność inaczej gospodaruje z nielicznemi kwiatkami swemi. Nic dziwnego, że wtedy i pamięć jest lepszą i wierniejszą!

Bubunia skończyła teraz czytanie listu, który w gruncie nie mieścił nic ciekawego, a wkładając go napowrót w kopertę przemyśliwała nadtem, co dalej z posłańcem zrobić.

— Pani mnie depcesz nogami jak pyszny zwycięzca — mówił dalej Floryjan do Salomei, a przecież należy mi się choć... litość!... Pamięcią swoją zwyciężyłaś mnie pani... a ja... a ja nawet na to nie mam w tej chwili stosownej odpowiedzi!

— Za tę porażkę nie powinieneś pan gniewać się na mnie! z pewną słodyczą odpowiedziała Salomea — pamięć moja zachowała mi bardzo ładny kwiateczek z czasów osamotnionej mojej młodości... ta piosenka jest dziwnie rzewną!

— Tak.... rzekł Floryjan zawieszając wzrok w powietrzu — piosenka ta musi być rzewną, bo nią żegnałem wtedy może na zawsze dom rodzinny!... Och!.. dom rodzinny! Jak magicznie działa to słowo!...

— Przebija się to uczucie w kompozycyi pana, którą wczoraj słyszałam zaraz po północy!

— Bo też ta kompozycyja ma tytuł: „Dom rodzinny."

— Dom rodzinny!

— Więc pan masz tutaj dom rodzinny, wpadła teraz babunia z zapytaniem.

— Tak... to jest... dom, gdzie się rodziłem, znajduje się właśnie w tem mieście! odpowiedział zmieszany takiem zapytaniem ze strony babuni Floryjan.

— A gdzieś pan poznał Szambora? pytała dalej babunia.

— U wód, gdzie właśnie dawałem koncert.

— Szambor lubi bardzo muzykę — gra prawie na wszystkich instrumentach... A pan na czem grasz?

— Na wiolonczeli!

— Na basach, mówiono dawniej u nas.

— Nie babuniu — ozwała się Salomea — wiolonczela różni się od basów! Jest to teraz instrument modny!

— Być może — odparła babunia — ja tam nieznam się na tem. Szambor to przepada za muzyką. Zapewnie wziął pana nieraz do grania.

— Graliśmy nieraz razem!

— Gdybyś pan był u niego, to byś pan zabłądził pomiędzy instrumentami!

— Zaprosił mnie, abym go kiedy na wsi odwiedził.

— Winszuję panu tej szczególnej łaski mego kuzyna — bo jest to dziwak jakich mało.

— Wysoko sobie ją cenię!

— On ma rozległe stosunki, może panu w czem dopomódz.

Artysta schylił głowę.

— Ale powiedz mi pan, jakim sposobem przyszedłeś do tego, że grasz na basach...

— Na wiolonczeli! poprawiła rozpromieniona Salomea, która z opowiadania Floryjana dorozumiała się stosunku jego z wujaszkiem Szamborem.

— Niech będzie — na wiolonczeli! odparła babunia, chociaż to słowo brzmi bardzo nieswojsko! Aha przypominam sobie, że mój zięć mówił: basetla.

— Drogi każdego talentu są często dziwne, rzekł po chwili Floryjan — to też i moja droga, która mnie do dzisiejszego zawodu zaprowadziła....

— Za pozwoleniem... a czem w naszem mieście byli rodzice pana?

— Moi rodzice... moi rodzice mieli niegdyś ten domek naprzeciwko....

— Aha! To teraz przypominam sobie pana! Pan jesteś synem tego ślusarza... co to umarł, a matka po raz drugi wyszła za mąż za tego pijaka, który nam po nocach spać niedawał!

Twarz Floryjana zarumieniła się. Razem z nim zarumieniła się także i Salomea. Zdawało się jej że taka rola babuni, aby niby o niczem nie wiedzieć, była niepotrzebna i szła za daleko. Zmarszczyła piękne czoło i rzekła:

— Za nałogi i fałszywe kroki rodziców przecież nikt nie jest odpowiedzialny. Nałogi

te u innych ludzi objawiają się inaczej, niemniej przeto są karygodne jak nałogi ubogich ludzi. Gdy nasz bliski krewny pan Leliwa cały majątek rodzinny w karty przegrał a potem jeszcze skrypta pofałszował i wiele innych brudów się dopuścił, to przecież tą samą miarą powinien być sądzony jak jaki inny prosty pijak, który dom rodzicielski przepił! Sama babunia o tem mówiła.

— Dobrze moję dziecię — wszak ja i teraz inaczej nie sądzę. Mówię tylko jak rzeczy stały.

Floryjan wdzięcznem spojrzeniem podziękował Salomei, że obroną swoją złagodziła sytuacyją nieprzyjemną, jaką zgotowały mu nieoględne słowa babuni. Salomea spuściła oczy, bo zdawało się jej, że z obroną dawnego swego ulubieńca zaszła trochę za daleko.

— No proszę—mówiła dalej babunia—ktoby pomyślał, że tego chłopca, który nam wieczorami przygrywał na harmonijce — po latach jedenastu, obaczę porządnie ubranego i w salonie będę z nim rozmawiać!

— Obrany zawód przerabia nas na innych ludzi! odparł Floryjan trochę zmieszany, że babunia nie mogła tak prędko oderwać się od jego przeszłości.

— Gdyś pan znikł nagle nam z przed oczu — mówiła dalej babunia — to myślałyśmy inaczej.

— Może domysły te były romantyczniejsze? podjął z uśmiechem Floryjan.

— Niekoniecznie! Myślałam, żeś pan poszedł do szewca.

Twarz Floryjana poczerwieniała jak pas ciemny.

— Babuniu! błagającym głosem ozwała się Salomea — przecież domysły nie zawsze są trafne!

— Czyż to co powiedziałam, może komu ubliżać? rzekła babunia widząc rumieniec na twarzy gościa — czy jakabądź praca poniża człowieka? Wprawdzie do jednej potrzeba mniej, do drugiej więcej inteligencyi — ale jedna drugą pogardzać nie powinna.

— Jest przecież różnica między pracą a talentem! mówiła dalej w obronie swego dawnego ulubieńca Salomea — nie trzeba mieszać jednej z drugą!

— Masz dziwne wyobrażenia moje dziecko! gniewnie odpowiedziała babunia—każdy człowiek pracować powinien, jeżeli nie chce być próżniakiem, a najwięcej talent. Talent bez pracy, to podobny jest do klawikorda, na którym nikt nie gra. Co po nim w salonie?

— Tak jest — ozwał się teraz Floryjan, który w nieprzyjemnej dla siebie sytuacyi chciał nastroić dobrą minę — tak jest, talent potrzebuje pracy, olbrzymiej pracy, która pożera szpik i kości, wysysa krew serdeczną, a świat uciech i rozkoszy zasłania czarnym kirem!... Wtedy to dopiero może talent śmiałą ręką sięgnąć po laury, stanąć na wyżynie, z której cała Europa go widzi, i z radosnem zadowoleniem przysłuchiwać się oklaskom, które mu sypią od brzegów Newy aż do brzegów Sekwany i Tamizy!...

Floryjan wymówił te słowa z niepospolitem namaszczeniem. Długie jego włosy wygięły się do góry jak grzywa lwa, oczy zaświeciły jasnym blaskiem.

Z dziwnem drzeniem serca spojrzała teraz na niego Salomea. Zapewnie widziała na tych włosach laury całej Europy, słyszała okrzyki ludów i narodów! Artysta był rzeczywiście w tej chwili bardzo piękny.

Zdaje się że stara, zimna babunia niepodzielała zapału Salomei. Usta wydęła jakby jakiś śmiech złośliwy powstrzymywała.

— Bardzo ładnie pan powiedziałeś — rzekła po chwili — te laury europejskie są niemałym specyjałem... ale powiedz pan, czy nie można było jakim sposobem utrzymać tego domku rodzinnego, aby w ręce obce nie poszedł?

— Stało się to, podczas mego pobytu za granicą! odparł Floryjan i spuścił oczy do ziemi.

— A czemuś pan nie przybył na pogrzeb matki?

— Sztuka — łaskawa pani — jest twardym zakonem! Ostra klauzura niepozwala wracać od niej do świata! Kto raz w jej świątyni dał się święcić na kapłana, ten zrzekł się wszelkich związków rodzinnych — temu nawet nie wolno już myśleć o sobie!... chociażby serce jego Bóg wie czego pragnęło!..

— Ach jakże okrutny wyrok wydajesz pan na siebie! przerwała mówiącemu Salomea, tak okrutną przecież niepowinna być sztuka!

— Tak pani! odparł nieubłagany artysta, sztuka jest wielką okrutnicą!

Przy tych słowach wzniósł brunatne swoje oczy do góry i wstrząsł długie włosy, aż się zjeżyły.

Nastąpiła dłuższa pauza.

Pauzę te wypełniono rozmaicie.

Salomea była podobną do instrumentu, na którym odzywały się tony przegranych akordów. Artysta cofnął już rękę od białych klawiszów, a dźwięk strun rozchodził się jeszcze po słojach drzewa. Tak samo i w duszy Salomei brzmiały jeszcze słowa Floryjana, które trącały o wyżyny życia ludzkiego, tak odmienne od zwykłej, codziennej pracy. Salomea niesłyszała prawie jeszcze nikogo tak mówiącego żywem słowem. Czytała tylko w martwych książkach o czemś podobnem.

Floryjan w tej pauzie utwierdzał się w przekonaniu, że cała rozmowa, trącająca o tak niefortunne rzeczy, zakończyła się przecież na jego korzyść, o którą przecież przy pierwszem poznaniu każdemu chodzi. Osobliwie korzystnie oddziałała na Salomeę, która wydawała mu się co raz piękniejszą, co raz wyższą istotą. Widocznie czuł, że za każdem spojrzeniem wiązała go co raz więcej jakaś nie sympatyczna, jakieś dziwne pokrewieństwo duszy. Nawet babunia zaczęła milej się uśmiechać, a przynajmniej nie miała już tak srogiej twarzy jak wtedy, gdy pytała, dla czego na pogrzeb matki nie przybył?...

Wcale inaczej zużytkowała te pauzę babunia. Myślała właśnie o gościach, którzy na kawę poobiednią przyjść mieli, i o spalo-

Z PIĘCIU CZĘŚCI ŚWIATA.

II.

Pragnąc się wywiązać z danej w pierwszym felijetonie obietnicy, zamierzamy dziś przenieść się myślą w szerszą sferę spraw publicznych.

Od czegóż tu jednak zacząć?..

Na posągu wykutym dłonią wieków i pokoleń, w blasku jasnych i ponurych świateł, spoczywa wielka karta, na której mężowie, dzierżący w dłoniach swych losy, narodów, zapisują wiekopomne wyroki.

Przypatrzcie się jej bliżej! Na szczycie błyszczy napis *polityka*. Do niej więc najprzód przystąpić nam wypada. Darujcie jednak że nie pójdziemy torem starszej na tem polu braci, i nie podamy wam ani szczegółowych ani wyczerpujących wiadomości z tej sfery. Nie mamy potemu źródeł odpowiednich, nie dochodzą nas telegrafy.... Nie myślimy również podkradać się do gabinetów monarszych czy ministeryjalnych, nie myślimy podsłuchiwać tam rozmów tajemnych, aby poważnemi rady wpływać na losy równowagi europejskiej. Z pokorą ducha przyznajemy, iż na to sił nam nie starczy. Darujcie tandem, że przemówimy do was nie poważnym głosem dyplomaty, ale lekkim, jowijalnym niekiedy tonem felijetonisty, ot tak, po prostu, pogawędzimy sobie o tem... co słychać na szerokim świecie?

Zacznijmy od *Francyi*. Na spokojnym na pozór tle życia rzeczypospolitej, wrze zwolna ogień różnorodnych dążności. Nowy gabinet *Buffet* niepewne stawia kroki. W nowym rządzie panuje dwojaki nastrój przekonań. Jedni pragną szybkiego działania, drudzy występują z zasadą: *festina lente*! Konserwatyzm, jak duch Banka, ukazuje niekiedy swe oblicze. W ogóle Francuzi wiecznie Francuzami zostaną. Idą zawsze naprzód, to prawda, ale zataczają wiecznie w biegu swym, koła zwrotne.

Czesi kłócą się na dobre! Niczem walka starej i młodej prasy warszawskiej. Staroczeska partyja *Riegera i Palackiego* stoi wprawdzie dotąd u szczytu, zwolna wszakże traci na sile. A centralizm niemiecki ukazuje tymczasem ciemną paszczę, gotową pochłonąć osłabionych walką przeciwników. Idąc za przykładem wytrawnej braci po piórze politycznym, radzilibyśmy szanownym Czechom zgodę. Czy jednak rada nasza będzie uwzględnioną?.. Daj Boże!

Wszędzie walka i zawiść panuje. Gdzieniegdzie atoli rozjaśnia się ponury horyzont niechęci, i zwaśnione stronnictwa, kłoniąc się ku zgodzie, dadzą sobie może niezadługo buzi. Wielcy politycy przewidują, np. iż *rząd włoski ze stolicą apostolską* połączy się węzłem przyjaźni, a my oczywiście ze swojej strony nic a nic przeciwko temu nie mamy.

A Niemcy, a Bismarck! zapytacie zniecierpliwieni. Darujcie że to, od czego zacząć winniśmy, na końcu dopiero zamieszczamy. Czcigodna Germanija głośnym objawem radości uczciwszy 78-letnią rocznicę urodzin cesarza Wilhelma, zajmuje się w dalszym ciągu prześladowaniem katolicyzmu, zniesieniem klasztorów i ślubami cywilnemi.

nych plackach łącznie z nieudałą babką. Zgroza przejęła jej serce, że domowe pieczywo tak fatalnie się przedstawi przed konkurentem, co na Salomeę może rzucić światło bardzo niekorzystne!

Otóż nad tem przemyśliwała teraz babunia. Szukała sposobu, aby to wszystko naprawić, ale sposobu nie było. Drugi raz nie można było rozpocząć pieczenia, a pieczywo musiało być koniecznie domowe, bo taki zwyczaj był za jej czasów. Po pieczywie poznawał zazwyczaj konkurent dobrą szkołę domową i wprawę kuchenną swojej przyszłej żony, zaliczał do liczb posagowych.

Babunia była w prawdziwej rozpaczy. Myślała i myślała i nic nie mogła wymyślić. Wreszcie patrząc na gościa przyszła jej genijalna myśl do głowy. Chciała przed konkurentem spalone placki przykryć — muzyką. Nie było to wcale jej zasadą, aby panna muzyką konkurenta łowiła, ale w tym wypadku chciała zrobić wyjątek. Zresztą wiedziała o tem, że Salomea lubi muzykę i ma nawet ochotę nią się popisywać. Chciała więc tym sposobem zrobić wnuczce małą przyjemność, i pozwolić jej zabawić się dzisiaj muzyką.

Po długiej więc pauzie ozwała się do gościa.

— Pan zapewne nie masz nic szczególnego do robienia — może pan przyjdziesz na kawę po obiedzie. Salomea lubi grać — zagracie co razem!

Ta myśl wypowiedziana teraz jasno, tak się babuni podobała, tyle obiecywała jej antydotu co do spalonych placków i babki z zakalcem, że do słów swoich dodała gorący uścisk ręki, który Floryjana i Salomeę wprawił niemal w zachwycenie.

Floryjanowi wydał się ten uścisk jakimś miłym i cennym zadatkiem, czegoś o czem jeszcze nie miał pojęcia. Przyjął go z całej duszy i podaną rękę babuni z takim zapałem uścisnął, jakby mu chodziło o popis swojej siły muskularnej.

Przed oczyma Salomei roztoczyła się teraz długa, daleka perspektywa przyszłości. Była ona już jasna i czytelna. Dzień dzisiejszy spełnił co babuni sen miał przepowiedzieć. Wiedziała dla kogo były placki i babka, chociaż wszystko było tak zręcznie ułożone i z wielką dyskrecyją zamaskowane. Wdzięczną była babuni, że tak oględnie obeszła się z jej serduszkiem, że w sprawie tak delikatnej nie użyła zwykłej swojej rubasznej formy...

Salomea czuła, że na jej twarzy osiadła jakaś ciepła mglista zasłona, przez którą cały świat wyglądał tak piękny a wszyscy ludzie byli tak zacni, że każdego z nich mogłaby teraz do serca serdecznie przycisnąć!...

Z dziwnie rozkosznem uczuciem zgięła swą postać, gdy Floryjan uroczyście się kłaniał: i sympatycznym głosem: „do widzenia" wymawiał.

— Między trzecią a czwartą pijemy kawę! wołała uradowana konceptem swoim babunia za gościem.

— Niech pan nie każe nam długo czekać na siebie! dodała Salomea i zarumieniła się.

Floryjan pochylił głowę i znikł za drzwiami.

VII.

Na wieży miejskiej biła właśnie trzecia godzina, gdy do domku kasyjera wszedł Karol z wielkiem skupieniem ducha.

Miał świeży czarny tużurek, włosy starannie zaczesane i nowy kapelusz.

Stary kasyjer skończył był właśnie herkulesową pracę, która zazwyczaj powtarzała się przy każdej sposobności, gdy z jejmością trzeba było wyjść na wizytę.

Chodziło tu o nadanie staremu surdutowi barwy pierwotnej, która według domowej tradycyi miała być zieloną.

Do tej operacyi posiadał kasyjer różne manipulacyje Jedne były powierzchowne, drugie gruntowniejsze. Jeżeli wizyta nie miała wielkiej doniosłości, ograniczał się kasyjer na wymyciu surduta źródlaną wodą z domieszką sody. W wyjątkowych wydarzeniach używał rozpuszczonej żółci bydlęcej, która surdutowi nadawała połysk i światło zielonkowate.

Właśnie odbył podobną operacyją, gdy aplikant sądowy stanął przed stołem, na którym dla osuszenia, leżał rozłożony towarzysz kochanego stryjaszka.

— Przyszedłeś w sam czas! zawołał stary kasyjer przykładając rękę do poły surduta, tylko chwilkę a zaraz wyschnie! Patrz wygląda jak z igły!

Aplikant sądowy spojrzał smutno na stół. Ciemny połysk światła zdradzał wiele jeszcze wody w towarzyszu biurowym. Przyłożył i on rękę do poły.

— Ależ to nie wyschnie tak prędko! zawołał rozpaczliwym głosem — a tu już po trzeciej!

— Tylko kapkę czasu powiadam ci, a wszystko będzie w porządku. Przecież już nie raz sprawiałem mu taką łaźnię!

Rzekłszy to machnął kasyjer nad stołem ręką kilka razy, jakby niewidome tumany pary wodnej, odpędzał od surduta.

— Powiadam ci, że zaraz będę gotów — mówił machając dalej — a zresztą nie trzeba zaraz tak bardzo się spieszyć. Niech panna wie, że tak bardzo jej się nie łapie! O bo te kobiety mają chimery różne! Gdym się starał o moję żonę a twoję ciotkę, to raz ze złości dałem takiego nura, że mnie za dwa tygodnie zaledwie odszukano! Wtedy to było widzieć, jak szalała ciotka za mną, a gdym codziennie przy niej jak pies siedział, to grymasiła aż strach było patrzeć!..

Aplikant patrzał smutno przed siebie.

— Nieuwierzysz — prawił dalej kasyjer machając ręką co raz prędzej — jak dziwne czasem grymasy mają kobiety! Goń za niemi, to uciekają — uciekaj przed niemi to gonią za tobą! Otóż jak powiedziałem, gdy od twojej ciotki dałem nura na dwa tygodnie, to tak wybielała przez ten czas, jak szparag gdy mu się słońce odejmie. Wprawdzie i mnie nie było rozkosznie, ale zacisnąłem zęby i czekałem skutku. A skutek był wspaniały! Gdy mnie stryjaszek na poddaszu u mego kolegi wyszukał, ubrać i ogolić się kazał, i gdyśmy obaj do pokoju matki mojej żony weszli, krzy-

---

Postępowe to jednak państwo w niektórych zakątkach swej ziemi żywi jeszcze bladą marę średniowiecznych przesądów. Oto rycerstwo meklemburskie stanowczo nie chciało zasiadać na ławce sejmowej z gronem mieszczańskiem i wiejskiem, uważając to sobie za ubliżenie baronowskiej godności! I słusznie! gdzieżby zaś motłoch miał sądzić o losach Vaterlandu a w dodatku uchowaj Boże jakieś przypuśćmy veto uherbowanemu koledze założyć. Chyba żeby takie zbratanie książe kanclerz z urzędu polecił.

Dalsze zato zakątki ziemi zawstydzają niekiedy ucywilizowaną Europę. Kraj *Aszantysów* dał oto przykład godny do naśladowania.

Noblessa tamtejsza postanowiła złożyć z tronu króla *Kalkalli*. Dowiedziawszy się o tem monarcha stanął przed narodem i przypomnieniem swych zwycięztw starał się ułagodzić poddanych. Nie uzyskawszy jednak przebaczenia, opuścił tron zabrawszy z sobą pewną ilość niewolników i żon z haremu, czem dał dowód oszczędności ogromnej. Oszczędził krwi i łez swojemu narodowi!.. Gdyby tak Don Karlos, zechciał pójść za tym przykładem.

Już to przykład prawdziwej oszczędności i powolnego, lecz energicznego zarazem dążenia do przedsięwziętego celu, przedstawiają zawsze *Holendrzy*. Kiedy 1859 i 1860 r. wojska ich zdobywały Borneo, śmiano się z powolności działania i oszczędności, jakie zaprowadzili w budżecie wydatków wojennych. Jednakże wytrwałość wzięła górę, i mimo klęsk wielokrotnych, wyspa dostała się w ich ręce. Teraz zupełnie też samą taktykę widzimy przy zdobywaniu Sumatry. Nie ma większej siły nad zimną krew i flegmę synów północy.

Przypomina nam się tu fakt dosyć zabawny, mniejsza oto gdzie wyczytany. Holender zwolna jadąc po błotnistej drodze, utonął w głębokiej zadumie. Nagle wolnym i leniwym głosem odezwał się do woźnicy:

— Czy lubisz jajecznicę?

Otrzymawszy odpowiedź Holender zaraz pogrążył się w rozmyślaniu.

W parę dni potem powracając tąż samą drogą w tem samem usposobieniu ducha, przypomniał sobie ową jajecznicę, i idąc za biegiem dawnej myśli, najnaiwniej ciągnął dalej rozpoczętą wówczas rozmowę:

— A z czem wolisz: czy z pieprzem, czy z solą?

Nie wiemy, czy woźnica był o tyle domyślny, że zrozumiał o co chodzi.

Od flegmy przejdźmy do tolerancyi.

O tolerancyjo! Czyżbyś miała bujniej zakwitnąć na wzgardzonej niwie naszego życia społecznego, niż we wsławionych krainach oświaty. Oto fakt, dowodzący, iż tam nawet gdzie hymn postępu i nauk zupełnie już na pozór wsteczność zagłuszył, odzywa się ona niekiedy dziwnie ochrypłym tonem. W wojskowo inżynierskiej szkole w New-Yorku jeden ze studentów niechciał podać ręki koledze swemu negrowi, za co wydalono go zresztą. Zamilczcie pesymiści, którzy, sławiąc wszystko co na obcym rozkwita gruncie, w barwach życia naszego same blade upatrujecie cienie!

Pragnąc być jednakże bezstronnymi, zaznaczyć musimy, iż u nas dzieją się niekiedy rzeczy, o których ani się śniło cywilizacyi XIX

knęła Michasiu przeraźliwie i upadła jak nieżywa na ziemię. Wtedy to miałem dowód że mnie prawdziwie kocha i nietracąc czasu pocałowałem w rękę matkę i stryjaszka i prosiłem o nią!... Od tego czasu minęło lat czterdzieści siedm i dwa miesiące—i dzięki Bogu nie żałowałem ani razu mego kroku, chociaż ludziska dziwili się, żem się dał złapać pannie bez posagu!

Tu przyłożył kasyjer rękę do surduta i pokręcił głową. Sukno było jeszcze bardzo mokre.

— Nie wiem dla czego dzisiaj tak długo wysycha!... Zapewnie żółć była gęsta i mocna! Ale zaczekaj... weź drugi koniec ręcznika i machaj ze mną nad stołem! Odświeża to powietrze i pomaga do wysuszenia sukna.

Aplikant wziął machinalnie podany koniec ręcznika i wprawił rękę swoję w ruch jednostajny, jak tego sobie życzył wujaszek. Twarz jednak jego znacznie posmutniała, bo machanie widocznie nie pomagało surdutowi. Przez otwarte okno słychać było wyraźnie — pół do czwartej!

— Otóż powiadam ci, prawił dalej wujaszek, śmieli się ludzie ze mnie, żem się dał złapać pannie bez posagu jak stary wróbel na plewę. Osobliwie dokuczali mi pewną kuzynką księdza kanonika, która po nim miała wziąść znaczne pieniądze. Ale dobrze się bardzo stało — bo jak się potem pokazało, siostrzenica księdza kanonika miała pewne nałogi, które jej mężowi dały się potem tak sromotnie we znaki, że nie tylko zrzekł się pieniędzy księdza kanonika ale nawet i poważnej jego osoby łącznie ze swoją żonką i drapnął gdzieś w świat za oczy!...

Aplikant mało co słyszał — machał ręką bezprzytomnie, bo myśli jego były już dawno we dworku.

— Zaczekaj — mówił dalej stary kasyjer, trzeba zmienić kierunek prądu. Machaj do siebie!

Aplikant usłuchał i machinalnie zmienił kierunek ruchu. Ale dziesięcioletni towarzysz starego kasyjera był dzisiaj uporczywy. Nabrawszy raz wodę w siebie, nie chciał z niej nic uronić. Zaparł też i trzymał mimo wszelkich operacyj.

— Co to jest? mruknął kasyjer i przycisnął rękę do sukna, aż woda do góry wytrysnęła, co to jest? Nigdy jeszcze tak mi się nie stało! Najdalej za godzinę wysychał surdut, a tu już druga godzina mija!... Ale wiesz co? Weź za kołnierz gałgana, będziemy nim machać po powietrzu! Jeżeli taki szelma, to niech za to pokutuje!

Rzekłszy to chwycił staruszka za poły, a Karolowi powierzył kołnierz, jako część honorową.

Ale o dziwo! Okazało się, że na stole pod surdutem stała dosyć głęboka kałuża wody, jaka niezrozumiałym dla kasyjera sposobem tam się dostała.

— Otóż masz! gderał kasyjer — niepowiedziałem, że szelma? Schował sobie zapas wodny na tydzień! Czekaj hultaju! Złapałem cię na gorącym uczynku... Machaj dobrze Karolu, i niepytaj na to, że w karku trzeszczy.

Aplikant był bliskim rozpaczy. Na wieży wybiła już czwarta godzina. Wprawił staruszka w taki ruch szalony, że stary kasyjer uznał za stosowne prosić dla niego o łaskę.

Śród tej operacyi weszła kasyjerowa do pokoju. Była w czarnej, mantynowej sukni i miała już kapelusz na głowie z żółtemi kwiatkami.

— W imie Ojca i Syna!... krzyknęła widząc pot kroplisty na czole Karola a rumieniec na twarzy męża — a cóż tu się dzieje strasznego! Czy surdut skazany jak Mazepa na rozszarpanie!

— Nie przemawiaj za nim serce — krzyknął z impetem kasyjer — on na to nie zasłużył! Szelma i hultaj jakich mało! On myśli że ja będę z nim żartował i do skrzyni go schowam jak sajetę! Patrzaj go!... Szybko machaj Karolu, niech go dyjabli wezmą!

Kasyjerowa rozśmiała się na całe gardło, podczas gdy kasyjer kręcił ręką jak umierający gladijator.

— Ależ to nic niepomoże — zawołała — lepiej weź go na siebie i wyjdź na ogród.

Kasyjer i aplikant przestali nagle machać. Genijalną wydała się im myśl kasyjerowej i dziwili się, że sami na nią nie wpadli.

— Masz szluszność serce — odrzekł uradowany małżonek — powinno mi to z początku przyjść było do głowy!.. Widzisz Karolu, co to znaczy słowo żony! Gdy się ożenisz, to się przekonasz, jak w niejednej trudnej sprawie da ci ona radę skuteczną!.,. Powiedz mi, dla czego żaden z nas — ani ty ani ja — nieprzyszliśmy na tę myśl tak prostą? Dopiero kobieta musiała przemówić!

— Panu Karolowi wcale się nie dziwię — odparła z uśmiechem kasyjerowa -- bo on jest duszą już dawno w dworku Rabsztyńskiej!.. Ale że ty stary nie miałeś na tyle konceptu w głowie swojej...

Bo widzisz serce — rzekł z galanteryją kasyjer — zawsze tam pierwsze miejsce dla ciebie zostawiam!

— Nie mów tak, bo Karol gotów się cofnąć, jeżeli żona tylko w domu ma rządzić!

— Uchowaj Boże — tego nie powiedziałem! Przecież mężowi zostaje zawsze pole wolne, czy ma przyjąć propozycyją żony czy nie! Że ja zazwyczaj przyjmuję to jeszcze Karola do niczego nie obowiązuje!... Ale prawdę powiedziawszy, że panna Salomea będzie rozkazywać, to już widzę po jego nosie! Zakochany jak trusia!

Aplikant nie słyszał wcale tych słów, bo właśnie z niecierpliwością trzymał przed wujaszkiem surdut rozkrzyżowany, aby mu tem prędzej i snadniej wlazł na ramiona.

Wreszcie zawisł już surdut na ramionach dobrze sobie znanych a podzielając niecierpliwość Karola zaczął czemprędzej wydzielać z siebie wodę żółciową przenosząc ją na kamizelkę i koszulę starego kasyjera.

Poznał tę zdradę kasyjer a ruszywszy kilka razy ramieniem jak człowiek, który dozna nagle nieprzyjemnego uczucia, wyruszył czemprędzej na jarkie słońce dwunastego lipca.

---

wieku. Pewien bogaty panek, posiadający z dziada pradziada obszerne bardzo włości, wskutek marnotrawstwa, doszedł do zupełnej ruiny i zmuszony był sprzedać dziedzictwo ojcowskie. Zjawił się kupiec, który za krwawo zapracowany grosz ośmielił się pretendować o spuściznę znakomitego domu. Niestety, był to prosty plebejusz, niegodzien stąpać po wspaniałych komnatach, ozdobnych wizerunkami wielkich przodków podupadłego magnata. Skoro więc zjawił się przed oblicze pana, ten, oburzony zuchwałością podobną odrzekł surowym tonem:

— Ja majątku swego nie sprzedam lada plebejuszowi i dorobkiewiczowi. Duchy przodków moich poruszyłyby się w mogile, gdyby wśród tych ścian, gdzie wiedli żywot pełen chwały, przebywał potomek służebniczej hałastry.

Skonfundowany w ten sposób zuchwały śmiałek musiał odstąpić od kupna, i sądzicie zapewne, czytelnicy, że dumny arystokrata, odprzedał włości swoje jakiemu potomkowi świetnego rodu? Bynajmniej! poszły one w ręce najpospolitszych kolonistów niemieckich, ojcom których ani się śniło błyszczeć na arenie chwały dziejowej! Ha! zapewne co niemiec to niemiec. O konsekwencyjo o konsekwencyjo!.. Od pleśni i starości przejdźmy do młodego pokolenia naszego. Zewsząd słyszeć się dają głosy narzekania na każący je trąd zepsucia. Szczególniej na młodzież akademicką naszę spadają często gromy niezadowolnienia z ust surowych matek i opiekunek, a dla wielu czapka granatowa prawdziwym jest postrachem. Oj szkoda wielka szkoda że pewna cząstka młodzieży naszej na niemieckich burszów się zapatruje. Tam bowiem rozpusta młodzików do powszednich grzechów należy. W Dreznie np. jak donosi korespondent „Kuryjera Warszawskiego,“ uczęszczający do wyższych zakładów naukowych, w ciągu karnawału i pokarnawale urządzają szumne pikniki i bale składkowe, a spore sumy pieniędzy, które mogłyby być z pożytkiem obrócone na inne cele, idą na ofiarę Bachusowi.

Za to myślą na dobre w Niemczech o kształceniu nadobnej połowy rodu ludzkiego, obowiązując ją do uczęszczania przez lat dwa do wyższej szkoły ludowej. Gdyby tak u nas coś podobnego istniało! Coby powiedziały na to urocze córy nadwiślańskiego zaścianka? Już widzimy na obliczach ich chmurkę gniewu i niezadowolnienia. „Czego tam jeszcze brakuje?. Chcecie zrównać nas z sobą?. Chcecie walić na nas ciężar pracy umysłowej, aby ulżyć głowom swoim. Niedoczekanie wasze.“ Doprawdy, byłoby to krzyczącą niesprawiedliwością. To też felijetonista hołdując względom należnym galanteryi, gotów słowami i czynem stanąć w obronie pogwałconych praw waszych, urocze niebianki.

Zresztą, czyż i wam brakuje pochopu do nauk. Urządzacie przecież familijne *wieczorki literackie.* Dziwy słyszeliśmy o podobnego rodzaju zebraniach. Jakież bo poważne kwestyje występują tam w dyspucie i przedewszystkiem nauka i sztuka strojów i kwestyja opinii publicznej w praktycznem zastosowaniu. Po tak pouczającej rozmowie nadobne amatorki wiedzy w błogiem zadowolnieniu udają się na spoczynek.

Słońce okazało się przychylnem dla zrozpaczonego aplikanta i pełnemi haustami zaczęło pić wodę, chociaż ręka ludzka zaprawiła ją żółcią!

Za dziesięć minut była wierzchna warstwa sukna o tyle sucha, że już można było puścić się w drogę. Reszta miała się dokonać w drodze do dworku, do czego wybrano słoneczną stronę ulicy.

Jakoś niebo sprzyjało teraz wszystkim. Surdut za każdym posuniętym krokiem kasyjera stawał się co raz suchszym — pani kasyjerowa uśmiechała się do przyjemnych marzeń swoich, a Karol czuł po biciu serca, które mu dziwną rozkosz sprawiało, że z każdym krokiem zbliża się do swego szczęścia!...

VIII.

W białym dworku już od trzeciej godziny siedział Floryjan przy fortepijanie i pomagał Salomei do wyczytania niezbyt trudnych nut, które miały służyć za towarzyszenie dla wiolonczelli.

W spokojnej chwili byłaby Salomea bez żadnych usterków wybrała te nuty, ale dzisiaj jakoś tak się plątały, że nie mogła ich prawie nigdy widzieć w należytym porządku.

Dzisiaj serce jej biło niespokojnie. Na małym horyzoncie dotychczasowego życia pojawił się jasny meteor, który dziwne rzeczy przed nią oświecił. Była tem światłem olśniona i oczarowana. Czytając książki myślała nieraz o ludziach wyższych, wyróżniających się po nad gmin pospolity, przechodzących przez arenę z pewną jasną aureolą w koło głowy.

Podobny człowiek stanął teraz przed nią. Widziała go i znała jak dziecko jeszcze — niepojętym dla niej sposobem oderwał się on małym chłopcem od nizkiego poziomu swego urodzenia a dzisiaj pojawił się przed nią w szacie człowieka wyższego, niezwykłego!...

Takich ludzi nie widziała jeszcze zbliska Salomea. Był wprawdzie kilka razy koncert dla ubogich w mieście, i na tym koncercie grał na fortepijanie jakiś blady, chudy artysta ale prócz uwielbienia, jakie mu w darze złożyła z daleka, nie mogła się osobiście zbliżyć do niego.

Zazdrościła tylko człowiekowi, który przez trzy godziny był jedynym bohaterem i ulubieńcem zgromadzonej publiczności! I ona mogłaby była wybrać go sobie za ulubieńca, ale on niezbliżył się do niej!.., Pozostało tylko pragnienie i przelotne marzenie.

Marzenie to stało się dzisiaj rzeczywistością. Zatracony dawny młodziutki ulubieniec wrócił dzisiaj wyższym człowiekiem, o jakim tak często marzyła.

Na ciasnym horyzoncie jej życia było to zjawisko nielada. Nie zbliżyła się do niego z krytyką rozsądku i rozumu, ale rzuciła się naprzód z szałem serca, które nagle zawrzało. Reszty miał dokonać czas i bliższa rozmowa.

Tak usposobioną kobietę ujrzał nagle Floryjan przed sobą. Jakkolwiek marzenia i zachcianki młodego artysty wybiegały dalej poza miasto rodzinne, widok jednak takiej kobiety musiał go uderzyć i przy sobie choćby na chwilę zatrzymać. Przyczyniły się jeszcze do tego przypomnienia z lat dziecięcych. Był on synem ubogiego rzemieślnika, i przypominał sobie wyraźnie, z jaką czcią i obawą patrzał z okna swego rodzinnego domku na dwór biały, w którym widział inne sprzęty i innych zupełnie ludzi! Wtedy wydało mu się świętokradztwem sięgnąć myślą pomiędzy tych ludzi, którzy w zamkniętych karetach jeździli i tak nieskończenie wyżej stali od rodziny ślusarskiej.... dzisiaj zaś zrównał się prawie z nimi, a nawet... nawet może ich przewyższył, jak się to w najbliższej przyszłości okaże!... A przyszłość tę widzi już jasno w młodzieńczej wyobraźni swojej... jest ona strojna w kwiaty i laury całej Europy, bo przecież sztuka otwiera bramy świata!

Łechtało to może jego zwykłą próżność, że z tymi ludźmi staje dzisiaj na równi, którzy przecież w całem mieście powiatowem uchodzą za miejscową arystokracyją! A zaszczyt ten jest dla niego tak ponętny. Prawie wszyscy rowieśnicy jego, którzy tutaj rzemieślnikami, zostali, zazdroszczą mu takiego splendoru!

Czyż w takim razie nie jest to szczęściem napawać się takiem uczuciem w nagrodę za tyle pracy i trudów, które tak mozolnie wynoszą z pośród gminu pracowitego człowieka?

A Floryjan był właśnie na tej drodze. Pomoc dalekiego krewnego, który był piekarzem w okolicy, dopomogła mu do ukończenia pierwszych szkół, a gdy potem ujrzano w nim talent do muzyki, wysłano go do muzycznego zakładu stolicy, do czego przyczynił się hojnym datkiem pewien bogaty i zacny obywatel.

Talent postawił Floryjana wyżej pomiędzy równemi mu urodzeniem, i otworzył mu drzwi domów, któreby bez tego talentu były zawsze dla niego zamknięte!

Tu zaczyna się niebezpieczny szkopół dla takich talentów, jeżeli z przypadkowego przywileju uroszczą sobie pewne prawa do tego wszystkiego, co ten obcy dla nich świat w sobie mieści.

A Floryjan wszedł właśnie na tę drogę pochyłą. Talent i miła powierzchowność otworzyły mu drzwi niejednego salonu, w którym mógł się z całą swobodą rozgościć. Ale tak wczesne powodzenie sprawiło, że początek swojej karyjery wziął za sam środek zenitu i może zawcześnie marzył o laurach, gdzie mu właśnie pracować jeszcze w zaciszu należało!

Mogła to być zwykła, młodzieńcza zarozumiałość — którą dopiero doświadczenie ochłodzić miało — a mogły być słuszne uroszczenia genijuszu, który w kolebce już dusił centacery!....

Takie mniej więcej było stanowisko naszego powiatowego artysty w świecie artystycznym, który dla natchnień przyjechał do rodzinnego miasta. Być może, że świat jeszcze wcale o nim nie wiedział, że nie znał jego przyszłych dzieł i kompozycyj — ale sam artysta wiedział o sobie i święcie był przekonany, że w głowie swojej ukrywa przyszłe arcydzieła. To też starannie nakrył tę głowę długiemi włosami, jakto wszyscy najpier-

---

Tak bywa bo podobno zazwyczaj, jeżeli zbierze się grono samych niewiast... W innej zupełnie barwie przedstawia się zebranie towarzyskie, gdy obok nadobnych przedstawicielek słabszej połowy rodzaju ludzkiego uwijają się z należytą atencyją jednostki generacyi męzkiej.

— Czytałeś pan ostatnią powieść w Bluszczu? — pyta sentymentalna blondynka zapalczywie milczącego młodzieńca.

— Nie czytałem pani!

Biedny obskurant traci wiele w pojęciu oczytanej dziewicy.

— Jak można nie czytać tak pięknej powieści?

— Trudno, łaskawa pani! Jest tyle poważniejszej strawy, że na spożycie takich łakoci nie zawsze starczy czasu i apetytu.

— Tak bo panowie nie lubicie prawdziwie podniosłych uczuć. Pogrążeni w zimną prozę życia lub w ścisłe naukowe badania, stajecie się bryłą lodu lub zapleśniałym mólem.

Czy słyszysz ten surowy wyrok, o prozaiczna młodzieży? — Biada wam, wy, którzy nie czytacie powieści i poezyj w Bluszczu! W każdym razie sługa wasz, nadobne czytelniczki, nie zasłużyłby na podobny zarzut, gdyż z obowiązku szperacza literackiego musi niekiedy pograżać się w tę sferę migdałowych marzeń i błękitnych uniesień...

Cześć wam, o niewiasty nasze! Wy to jeszcze rozbudzacie poczucie piękna w zastygłych piersiach młodzieży. Nie tylko bowiem zachęcacie nas do ogrzewania zimnych promieni ducha w ożywczem cieple uczuć niebiańskich, lecz same często wylewacie w pieśni takie tony, że mimowoli zawołać musimy: Przestańcie bo się zapłaczemy!“ Podobnego wrażenia doznaliśmy po przeczytaniu w Tygod. Illustr. wiersza p. *Adeli K. (Hanickiej)* p. t. „*Wspomnienie.*“ Szczególniej zachwycił nas ostatni ustęp:

„Gdy na twym grobie,
Zdobiąc kurhanek,
Ktoś wierny tobie,
Położy wianek,
Spadną nań bratnio
Łzy i promienie,
To dań ostatnią
Złoży — wspomnienie.“

Że „łzy spadną,“ o tem nie wątpimy. Ale skąd się tu wezmą promienie, to już jest rzeczą domyślności czułych czytelniczek! Już to ten przymiot jest wyłączną ich własnością. My w pokorze ducha przyznać się musimy, iż bynajmniej w tym względzie nie celujemy.

Przyznanie się do winy maże połowę grzechu. A myśmy srodze zawinili, wprawdzie nie mową, ani uczynkiem, lecz myślą tylko. Oto w naiwności ducha sądziliśmy, że *Towarzystwo Dobroczynności* jest to instytucyja, mająca za cel wspieranie nędzy, której brak już sił do pracy uczciwej. Tymczasem rzecz się inaczej zupełnie przedstawia. Oto w jednym z większych grodów pół-kuli naszej *(nomina sunt odiosa!)* istnieje tego rodzaju instytucyja, zbogacona obfitymi darami, jakie ze wszystkich stron do skarbnicy jej płyną. Umie też ona w należyty sposób z nich korzystać

wsi artyści praktykowali, aby z niej nic nieuronić aż do czasu, gdy mu świat i ludzie pozwolą usiąść do pracy i arcydzieła stworzyć! A tymczasem postanowił dawać światu małe okruchy swojej genijalności — zagrać tu i owdzie mały koncercik, na który miłosierne kobiety potrafią zawsze zebrać dosyć okazałe audytoryjum. I nie jest to wcale żadna żebranina, jak mniemał a jak czasem zgryźliwi ludzie mówią — ale najprawdziwszy kupon odcięty od akcyi talentu a przyszłego mistrzowstwa!

d. c. n.

Na jeziorze Garda.

Pełno łodzi płynie po jeziorze Garda,
Wszystkie strojne w kwiaty, w lamp tysiączne blaski;
Słychać szum jeziora i teskną pieśń barda,
I śmiechy naprzemian i huczne oklaski.

Księżyc srebrną szatę na świat szczęścia rzuca —
Gwiazdy z nieb spadają na kobiece łona —
A do róż i kobiet słowik pieśń donuca —
A ta pieśń rozkosznie w ciepłej nocy kona...

U nóg każdej Włoszki, Włoch szalony klęczy
I w jej oczy patrzy i jej kibić ściska —
Ona go białemi ramionami wieńczy
I z czarnego oka pioruny nań ciska...

I tak wśród księżyca i wśród gwiazd promieni
Jedna łódź — łódź drugą wita i wymija,
Improwizatorzy młodzi, więc natchnieni,
Powtarzają czule pieśń: „Santa Lucia!"

* * *

Dźwięk gitary rzewny z szumem fal złączony,
Jakieś dziwnie tęskne w sercu sny rozściela,
Zbudza w duszy Włocha wieszcze natchnień tony
I płomienne zmysły blaskiem uaniela.

Jak pierś młodej dziewy, drży jezioro Garda...
Wszystko żyje, kocha, śpiewa i szaleje...
Nawet gór powierzchnia marmurowa, twarda,
Echem rozpowiada zakochanych dzieje...

Tylko jedna czarna łódka na jeziorze —
Jej nie wieńczą kwiaty, ani lamp pierścienie —
Na niej zamiast pieśni — grobowe milczenie,
Więc płynie wśród żywych, jak zmarłego łoże...

A przecież wśród blasku srebrnego księżyca
Na czarnej tej łodzi dwie widno postacie —
I poznasz po cieniu, po ruchu, po szacie
Że jeden młodzieniec, a druga dziewica.

A kiedy w około się suną gondole
I blaski w łódź padną z jasnego ich wieńca,
To poznasz zadumę na bladem jej czole,
I rysy złamane rozpoznasz młodzieńca...

Lecz czemuż, choć młodzi, bez światła i kwiatów—
Bez pieśni, samotna ich łódź się przesuwa?
Czy dość ma promieni pierś pełna bławatów?
Czy samo ich serce im wieńce osnuwa?

Czy może, zazdrośni, chcą ukryć przed zgrają
Namiętne pieszczoty? gorące spojrzenia?
Czyż może ich tętna, zbyt głośno im grają
Nokturny miłosne i hymny marzenia?

Lecz czemuż żałobą gondola okryta?
Lecz czemuż żałobne ich szaty i lica?
Któż ona? i on kto? ciekawy tłum pyta...
— To obcy młodzieniec i Włoszka — dziewica!

Dziwaczna historyja, choć bardzo niedługa:
Dwie siostry kochały jednego nie-Włocha —
Dziś młodsza umarła z zazdrości — a druga
Tam przy nim na łodzi... on biednej nie kocha!...

Tak śpiewa gondolier na lago di Garda —
Gondole się suną ze śpiewy i blaski —
Jeziora szum słychać i słychać pieśń barda —
I śmiechy naprzemian i huczne oklaski.

Lecz nagle od strony, gdzie czarna łódź stała,
Krzyk straszny, plusk fali rozległ się po wodzie...
I śpiewy ucichły i zbiegły się łodzie —
Na falach nieżywa kobieta się chwiała!...

Wśród lamp i wśród blasku srebrnego księżyca
Te same znów widać żałobne postacie...
I poznasz po cieniu, po ruchu, po szacie,
Że w łodzi młodzieniec a w falach dziewica...

* * *

I znowu śpiew ożył, jak siłą zaklęcia —
I jedna łódź drugą radośnie wymija —
Nad trupem topielca — nad grobem dziewczęcia
Śpiewają poeci pieśń: Santa Lucia!

Henryk Merzbach.

ZARYSY

Gubernij północno-i południowo zachodnich.

Skreślił
Jan ze Śliwina.

VI.

Gubernija Grodzieńska.

(dokoń. opisu Gubernii.)

W roku 1795 Białystok przeszedł pod panowanie Prus. Prusacy wprowadzili tu rozwój fabryczny, który i do dziś dnia przetrwał. Mocą traktatu tylżyckiego w r. 1808 przyłączony do Rosyi i wtedy to utworzono obwód Białostocki z trzech powiatów złożony: Białostockiego, Sokolskiego i Bialskiego. Wspaniały pałac Branickich zaliczony został do rzędu cesarskich pałaców, utrzymywany kosztem Dworu cesarskiego podług wszelkich przepisów dworskich. W r. zaś 1842 (18 grudnia) po utworzeniu gubernii Kowieńskiej i nowym podziale innych północno-zachodnich gubernii obwód Białostocki skasowanym został i wcielony do gubernii Grodzieńskiej, a Białystok z obwodowego stał się powiatowem miastem. Pałac cesarski zamieniono na instytut wyższy wychowania panien, pod opieką Cesarzowej zostający. Muzeum wileńskie zawdzięczało jenerał gubernatorowi Nazimowowi kilka pamiątek z pałacu Branickich w Białymstoku z jego rozkazu przewiezionych do Wilna, między innemi pięknej roboty barelief marmurowy wyobrażający W. Hetmana Jana Klemensa Branickiego. Znaczna część galeryi obrazów białostockiego pałacu znajduje się dziś w Wilnie w pałacu jenerał gubernatora. Gimnazyjum białostockie najwięcej posiadało uczących się ze w szy

---

Przykre jednakże niekiedy posłannictwo daje członkom swoim. Jeden z nich otrzymał pewnego razu zlecenie, aby przekazał w właściwe ręce sporą sumę pieniędzy. Pewien, iż gdzieś na ubogiem poddaszu spotka się z bladem obliczem nędzy w smutnym nastroju ducha udał się na wskazane miejsce. Tymczasem zdziwiony został niepomału, ujrzawszy nazwisko wspieranej osoby wyryte ozdobnemi literami na drzwiach pierwszo-piętrowego apartamentu. Dzwoni więc z nieśmiałością. Po chwili otwierają się drzwi i ukazuje się nie zbyt ujmujące oblicze lokaja, wraz z zapytaniem;

— Co to takiego?

— Mam interes do pani X.

— Proszę o kartę wizytową, zamelduję pana.

Zdziwiło to bardzo członka dobroczynnej instytucyi, dał jednakże żądany bilet.

Po chwili lokaj powrócił i objawił, że pani X. nie przyjmuje, gdyż wyjeżdża na spacer.

— Ale powiedz, że ja przychodzę z pieniędzmi — odrzekł rozgniewany groszodawca

— Sługa powrócił znowu i tęż samą przyniósł odpowiedź. O dobroczynności, jakież zaszczytne zajmujesz stanowisko, że nawet do salonu wstępu ci nie wzbraniają!

A propos dobroczynności. Tegoroczna kwesta wielkanocna, mimo nieprzyjaznej pogody obfitsze podobno niż ubiegłych lat zebrała ofiary. Może bogactwa kolchidy przypłynęły do grodu naszego. Czy może temperatura serc dobroczyńców nędzy ma się w odwrotnym stosunku do temperatury atmosferycznej.

Opowiadano nam fakt dosyć oryginalny. W jednym z kościołów przystąpiła do kwestujących młoda; bogato ubrana dama. Dotknięcie ofiarodajnej rączki było tak lekkie, iż siedzące przy stole osoby nie zwróciły uwagi na ilość złożonej kwoty. Lecz jakież było ich zdziwienie, gdy po odejściu damy, ujrzały złotą bransoletę, dziwnie odbijającą się od skromnego kruszcu. Sądząc że takowa przypadkiem zsunęła się z drobnej rączki, zwróciły się do ofiarodawczyni ze stosownem ostrzeżeniem. Lecz zaczepiona odrzekła, iż składa to jako dar dla ubóstwa. Zaiste hojność godna podziwu! Mamy więc w gronie niewiast naszych serca wzniosłe. Widocznie, że poezyja uczuć świetniej w czynie, niż w dźwięku pieśni u nas rozkwita..

A propos poezyi.

O młodzi wieszczykowie nasi, słuchajcie, jak to starsi śpiewają i rumieńcie się za nieudolność waszę. Oto mamy przed sobą śliczny wierszyk Adama Pługa, drukowany w ostatnim N-rze Kłosów p. t. *„U straconego gniazda ojczystego":* Rzadko zaiste napotkać można tak piękne perły uczuć i natchnienia. Posłuchajcie!

Nędzarz, włóczęga, z błaganiem żebraczem
U murów zamku swych praojców stoje,
I pierś mi wzbiera jękami i płaczem,
Bo już nie mojem dziś to gniazdo moje.

Gdziem najjaśniejsze widział życia zorze,
Gdzie mnie pieściła matka ukochana,
Gdzie tronem dla mnie były jej kolana,
I kto żyw, sługą był na moim dworze,

Tam dzisiaj obcy samowładnym panem,
Stamtąd psów jego na mnie zgraja szczeka,
Kiedy, wytartym okryty łachmanem,
Żebrzącą rękę wyciągam z daleka.

stkich szkół okręgu wileńskiego. Jest tu także Instytut położniczy. Obecnie w Białymstoku 17000 mieszkańców i przeszło 900 domów najwięcej murowanych. Ruch fabryczny i rzemieślniczy zawsze tu bardzo znaczny, jak wspomnieliśmy o tem wyżej. Samych rzemieślników liczą przeszło 1200.

W okolicach Białego stoku *Supraśl*, *Zabłudowo*, *Michałowo*, *Grudek*, *Knyszyn*, słynne są fabrykami sukna, z tych przedniejsze Zacherta. W Supraślu i Zabłudowie w XVI wieku istniały drukarnie starosłowiańskie. Pierwsi moskiewscy drukarze Iwan Fiodorow i Piotr Timofiejew Mstisławcew w r. 1569 wydali w Zabłudowie kosztem Chodkiewicza Ewangielije i Psałterz w języku słowiańskim. Supraśl przez całe wieki słynął cerkwią i klasztorem wschodniego obrządku, fundowanym przez Aleksandra Chodkiewicza w r. 1533, który mu nadał obszerne włości przynoszące rocznego dochodu 120000 złotych. W tej cerkwi były groby familijne Chodkiewiczów. Cerkiew i klasztor później należały do Bazylijanów, którzy tu bogatą biblijotekę zgromadzili. Tu także pogrzebiony jest Cypryjan Żochowski metropolita unicki zmarły w r. 1694.

Suraż należy do bardzo dawnych osad, stanowił w XIV wieku jednę z dzielnic Keystuta. Dziś licha mieścina, liczy 1500 mieszkańców.

Goniądz nad Bobrem, starożytna osada Jadźwingów. Jako miasto znane już było w wieku XIII. Dziś ma blizko 2 tysiące mieszkańców i prowadzi dość znaczny handel, położone bowiem przy drodze z Grodna do Królestwa Polskiego.

Prużana dziś miasto powiatowe, liczące z górą 5 tysięcy mieszkańców, nazywało się pierwotnie *Dobuczyn*, i należało do dzielnicy książąt kobryńskich, z których Iwan Siemionowicz z małżonką swoją Teodorą w r. 1473 założyli cerkiew pod tytułem Bożego Narodzenia. Kościół katolicki fundowany tu w r. 1522 przez dzierżawcę Kostewicza, a potem królowa Bona znacznie go uposażyła i odnowiła. Bona trzymała Prużanę, jako należącą do starostwa kobryńskiego. Podług tradycyi miejscowej, przemiana nazwy z Dobuczyna na *Pożarłą* czyli *Pruzanę* nastąpiła zaledwo w XVI wieku, z powodu, że piastunka trzymająca dziecię dzierżawców miejscowych wypuściła je z mostu do rzeki Muchy, a ponieważ woda *pożarła* dziecię, stąd jakoby i nazwa powstała. Na udowodnienie tej legendy przytaczają fakt, że Anna Jagielonka dostawszy te dobra w r. 1588 nadała im herb wyobrażający błękitnego węża (macierzysty herb Sforczow), *trzymającego w pysku dziecię do połowy widzialne*.

W powiecie Prużańskim jest osada *Białowież* nad rzeką Narewką, przy gościńcu z Brześcia do Grodna, uważana jako główny punkt puszczy Białowieżskiej.

Z innych miast powiatowych *Sokołka* przy źródle rzeki Sokołdy niewielka mieścina, z 4 tysiącami mieszkańców. Za czasów Antoniego Tyzenhauza, który założył tę osadę i murowanemi gmachami ozdobił, Sokołka kwitnęła handlem leżąc przy drodze z Grodna do Białegostoku i posiadała wielu wybornych rzemieślników.

W powiecie Sokolskim położony *Rożanystok*, słynny cudownym obrazem Bogarodzicy. Na Zielone Świątki zbiera się tu do 30 tysięcy ludzi pobożnych z rozmaitych stron. Kościół tutejszy wraz z klasztorem Dominikanów założony w r. 1658 został przez szczęsnego Tyszkiewicza stolnika dorpackiego.

Jeszcze przed niewielu laty na całą Litwę słynęło miasteczko *Zelwa*, w powiecie wołkowyskim, swoim jarmarkiem, który trwa od Ś-go Jana (24 Czerwca) do 25 Sierpnia. Zelwa nad rzeką tegoż nazwania należała do Sapiehów, którzy tu utrzymywali sławną stadninę z angielskich, tureckich, duńskich, neapolitańskich ogierów składającą się, do 1500 sztuk wynoszącą. Kramy murowane w kwadrat w liczbie kilkuset nigdy nie mogły wystarczyć na pomieszczenie towarów z odległych nawet stron przywożonych. W przeszłem stuleciu po Lipsku Zelwa zajmowała pierwsze miejsce pod względem jarmarków. A chociaż obecnie jarmarki te znacznie podupadły, wszakże niekiedy obrót handlowy na jarmarku wynosi jeszcze do milijona rubli. Stałych mieszkańców zaledwo koło 1500, a z tych większa połowa żydów.

Po Zalwie słynne jarmarkami było miasteczko *Swisłocz*, przy ujściu Swisłoczy do Berezyny, niegdyś własność Niezabytowskich, którzy tu kościół fundowali. Jest tu gimnazyjum męzkie. I dziś jeszcze Swisłocz słynie wyrobami skór i safijanów.

O 3 mile od Grodna leżą *Jeziory* i *Skideł*. Pierwsze nad wielkiem jeziorem, należało do ekonomii Grodzieńskiej, później nabyte przez słynnego Michała hr. Walickiego podstolego koronnego, który tu złożył wiele ciekawych zabytków, a po jego śmierci, sukcesorowie przewieźli z Wilna niemało kosztownych rzeczy, zaginionych i rozproszonych w r. 1863. Skideł zaś należy do zacnej rodziny Czetwertyńskich.

Wspomnieć nam jeszcze wypada o słynnych *Druskienikach*, do których z dalekich stron co rok zjeżdżają się w znacznej liczbie dla poratowania zdrowia. Wody tutejsze uważano za bardzo skuteczne. Nasz J. I. Kraszewski poświęcił Druskienikom osobne dziełko.

Już w XIII wieku na prawym brzegu Rotniczanki przy jej ujściu do Niemna, na granicy dawnych powiatów Grodzieńskiego i Trockiego wznosił się warowny zamek, przez książąt litewskich od napadów krzyżackich zbudowany. Posadę dawnego grodu i dziś jeszcze widać we wsi Młynek. Posadę tę otacza wąwóz, który był wprzód przekopem do Niemna prowadzącym. Nieco dalej widać jeszcze mnóstwo głazów, zapewne do składu warowni należących.

Musiały Druskieniki już w odległej przeszłości słynąć z własności *solnej* swych wód, gdyż *Druska* po litewsku ma oznaczać sól, a jest w pobliżu i jeziorko za Niemnem zwane *Druskonie*.

Druskieniki były teatrem niejednokrotnych krwawych zajść z krzyżakami, w czasie ich ciągłych napadów na Grodno, Merecz lub Troki.

O jakże straszny blask z tych okien pada!
O jakże dzikie stamtąd wrzaski biegą!
Wiem, wiem...wesoła kipi to biesiada
W sali mych przodków, u stołu mojego!

. . . .

Biada mej głowie! i wam wszystkim biada
Którzy podobnym podążacie szlakiem!
Bo kto puściznę ojczystą postrada,
Jak ja, nędzarzem będzie i żebrakiem.
A choć się spotka z lepszych losów gwiazdą,
Dawnego szczęścia nigdy nie odpyta,
I nigdy dusza w nim nie będzie syta
Bo ją rodzinne tylko żywi gniazdo.

Tak, młoda rzesza wierszopisów, śpiewa ten, co żywi w swej piersi, prawdziwe poczucie piękna, a w głowie mu prawdziwie doniosłych myśli nie brakuje.

Lecz nie wszyscy Warszawianie lubią poważny nastrój pieśni. Za to wesołe jej podskoki znajdują wielu wielbicieli. Cieszcie się zwolennicy Offenbachowskiej liry!... Oto niespracowany na tem polu p. Chodźko zbogacił jednę z najweselszych jej kapłanek — Pericholę. Nie wachał się on w imię dobra ogólnego udać się w daleką podróż dla odszukania cząstki arcydzieła. Wyprawa powiodła się całkowicie, i szan. reżyser przywiózł z sobą dwa akty, uzupełniające całość opery.... I powiadają, że nie ma u nas niezmordowanych pracowników dla dobra ogółu!..

Już to miasto nasze lubi humorystykę. A pole jej bujnym zakwitło nam w ostatnich czasach kwieciem, co zwróciło nawet uwagę pism rosyjskich. Wartoby usunąć tylko niektóre kwiateczki pośledniejszej barwy i... woni, a całość dobrze się przedstawi. Jednemu szczególniej pisemku radzilibyśmy więcej estetycznego smaku w konceptach.

Należałoby też zamiast reprodukcyj, wydobytych zapewne z kajetów rysunkowych jakiego gimnazisty, dawać koniecznie staranniejsze nieco ilustracyje. Możnaby za to zmniejszyć ich ilość. Lepiej mało, a co dobrego!

Daruj nam te kilka słusznych uwag, o humorystyko nasza i bądź pewną, że pochodzą one z serca przejętego gorącą ku tobie miłością. Ty bo jedna rozjaśniasz nam bladą nić żywota nadobnemi blaskami swej twórczości. Cześć ci i chwała! Lecz niestety, niekiedy zanadto szeroko korzenie swe zapuszczasz, i zjawiasz się tam nawet, gdzie pragnęlibyśmy widzieć samą powagę i należyte skupienie ducha.

Na jednym z tegorocznych odczytów w sali ratuszowej mieliśmy szczęście zająć miejsce obok dwóch nadobnych cór Ewy: Będąc z natury surowych zasad moralności, poświęciliśmy niebiańskie spojrzenia uroczych dziewic ziemskim porywom wiedzy. Lecz zaledwie ukazał się na katedrze młody, ujmującej powierzchowności prelegent, jedna z sąsiadek zawołała z zachwytem:

— Ach jakiż on piękny!

I wyrwawszy z rąk towarzyszki lornetkę, zwróciła ją w stronę prelegenta, robiąc głośne nad wdziękami jego uwagi. I druga dziewica podzielała również zapał przyjaciołki, i bratnie te dusze utonęły w uniesieniach zachwytu, który objawiał się tak głośną rozmową, iż odrywał uwagę słuchaczów od słów prelegenta. Jakiż sens moralny wycisnąć można z tego faktu. Oto 1) że Towarzystwo osad rolnych i przytułków rzemieślniczych powinno dobierać prelegentów, uroczych wdziękiem Apollina, ażeby ukształcić smak estetyczny żądnych

Jako źródła mineralne nabrały rozgłosu zaledwo od r. 1837. Pierwszy, który zrozumiał liczebną własność tych wód był włościanin Franciszek Surowiec. Liczba osób zwiedzających Druskieniki zwiększa się z każdym rokiem. Jakoż posiadają one to wszystko co jest niezbędnem do wygodnego i przyzwoitego życia w czasie letniej kuracyi, a nadto czarowną okolicę. Urządzenie samych źródeł, jak dla kąpieli, tak i dla picia wody, z galeryjami, odpowiedniemi budynkami i w ogóle niezbędnem i w tych zakładach, porządkami najzupełniej odpowiada współczesnym wymaganiom. Mają Druskieniki dość wygodne pomieszkania, jest tu kościół, szpital dla biednych, resursa, teatr, restauracyje i t. d. Co lato zjeżdża się orkiestra. Mówiąc o Druskienikach niepodobna niewspomnieć o doktorze Janie Pileckim, który od samego otwarcia źródeł tutejszych stał się gwiazdą opiekuńczą Druskienik i przybywających do nich. Bez niego, bez jego kierownictwa, udziału, pomocy, rady, nic się tu nie dzieje, a każdy wywozi najmilsze o nim wdzięczne wspomnienie, jako o człowieku wysokiego naukowego wykształcenia, zarazem człowieka serca i najzacniejszych chęci.

d. c. n.

Kronika Zagraniczna.

(dokończenie)

Odkrycia Champolliona sięgają wieków bardzo zamierzchłych, gdyż okresu budowy piramid — o których kto nie słyszał? — epoki królów Cheopsa, Ehefrena i Mykerinosa, którzy na wieczny odpoczynek kazali sobie zbudować owe trzy olbrzymie piramidy w Gizeh, koło Kairu.

Ale ciekawszą od piramid jest księga owej epoki, świadcząca jak dalece rozwiniętą już podówczas była kultura Egiptu. Jest to niewątpliwie najstarszy pomnik literatury na świecie. Pisał tę księgę człowiek z rodziny królewskiej, nazwiskiem *Ptah-hotep*. Zawarte w niej przypowieści, złote reguły życia, które dają nam pojęcie o ówczesnem życiu socyjalnem.

Powtórzymy tu niektóre z tej księgi ustępy, naturalnie, że nie odcyfrowane z hieroglifów, trud ten podjął i wykonał wspomniany powyżej uczony i badacz francuzki — ale powtórzymy je wygodniej, z książki gotowej w przekładzie.

Naprzykład: *o panowaniu nad sobą.*

„Kiedy się spotkasz z przełożonym twoim, a on jest rozgniewany, to bądźże dlań uprzedzającym, nie wahaj się pochylić kornie i nie jątrz się nawet w duszy. Nierozważne lub ostre słowo — a łatwo o to gdyś rozjątrzony — zgubiłoby cię. Rozbrój go raczej szacunkiem, który mu okażesz a powagą i sam w oczach jego urośniesz; więcej to warte niż wybuch twojej namiętności.“

O złodziejstwie.

„Uprawiaj własną rolę a nie zaspakajaj głodu płodami twego sąsiada. Kary godne jest twierdzenie: że każdy jest właścicielem wszystkiego co jest.“

Z drugiej strony tej przypowieści pokazuje się, że wówczas już zachcianki komunistyczne były znane i potępiane, gdyż Ptah-hotep występuje przeciw nim ze zdaniem:

„Własność jest rzeczą świętą“

O obowiązkach ojcowskich.

„Jeżeliś jest człowiekiem rozumnym, to wychowuj syna w zacności; jeżeli cię słucha, postępuje według rad twoich i stara się o dobro twoje jak powinien, to bądź dlań najlepszym przyjacielem. Ale i nieposłuszny syn jest krwią krwi twojej, nie zamykaj więc dla niego swego serca miłującego. Nie przestawaj być ojcem a bądź oraz i nauczycielem uprzejmym. Nie pofolguj mu jeżeli jest krnąbrnym. Ale, żeby poskromić, najlepszy na to sposób: praca. Nie dopuszczają się nadużycia ci, którzy zajęci są pracą.“

O nauce i dobrych obyczajach.

„Niechaj nauka dobra będzie ci droższą nad perły i dyjamenty, gdyż te są tylko ozdobą ramienia niewolnicy. Staraj się nabyć wiedzę, roztropność i dobre obyczaje. Nie bądź umysłu hardego, ale też i nie upokarzaj się zbytecznie, bądź panem każdego kroku i każdej swojej odpowiedzi. Namyślaj się długo zanim odpowiesz, gdyż spokojny myśliciel, odnosi zawsze zwycięztwo nad człowiekiem krwi gorącej.“

Z pomników znalezionych i ułamków zmudnie odczytanych papyrusów dowiadujemy się, jakie były zwyczaje na dworach Królów, jacy urzędnicy. I wówczas już, choć inaczej nazywani byli Szambelanowie, gwardyja Królewska, jenerałowie a nawet co dziwniejsza — tajna policyja, zwana *oczy i uszy króla.*

Na uwagę zasługuje stanowisko, jakie w starożytnym Egipcie, w 19 stuleciu przed Chrystusem zajmowała kobieta. Była to rola zupełnie inna od tej, jaką dotąd odegrywa na wschodzie upośledzona płeć niewieścia. W ogóle żadne społeczeństwo starożytne nie pozostawiło przykładu, by stanowisko kobiety było tak znakomite, jak to miało miejsce w państwie Faraonów.

Kobieta była nietylko i zwała się „nieograniczoną panią domu“, ale brała udział i w życiu publicznem. Kobiety bywały w towarzystwach, chodziły na zebrania uroczyste i zabawy publiczne. Równo uprawnienie ich zresztą w Egipcie starożytnym stwierdza i to, że kobieta mogła dziedziczyć tron i być panującym.

Godność kobiety obwarowana była prawami. Srogie kary były naznaczone za uwiedzenie kobiety. Z drugiej strony mówią wiarogodne podania bardzo niekorzystnie o damach Egiptu, podają nawet w wątpliwość wierność żon. Starożytne przysłowie Egipskie mówiło, iż nikt nie jest w stanie powiedzieć na pewno, kto jest jego ojcem.

Odgrzebane zabytki przekonywają także, że Grecy, w opisach instytucyj staro egipskich przesadzali, wszystko w zbyt czarnych malu-

---

wiedzy słuchaczek, 2) iż odczyty odbywać się winny na wiosnę, ażeby ciepła atmosfera spotęgowała jeszcze zapał ich serduszka.

Ale *à propos* wiosny, czujemy ją dotąd wprawdzie przeczuciem tylko, lecz niektóre objawy jasno już napomykają o jej istnieniu. Dyrektorzy trup prowincyjonalnych jak wędrowne ptastwo, zlatują się do miasta naszego, aby wprzód nim pisklęta swe do nas sprowadzą, upatrzyć sobie jakie dogodne legowisko.

Różnego też rodzaju przedsiebiercy odwiedzą wkrótce groszodajną Warszawę. Cyrk Salamońskiego już jest a złote góry nam obiecuje! Jakiś zagraniczny magik, mający bezpośredni stosunek z duchami, urządzi cały szereg przedstawień, na których wprowadzi nas w sferę nadziemskiej cudowności, w zamian czego ziemskim kruszczem naładuje wędrowną kieskę.

Lecz za to, niestety, p. Gassner z wiekopomnem muzeum swoim opuszcza nas w krótce, i to opuszcza już tylko od... trzech miesięcy. Nie żałujcie wy, którzy, niewidzieliście efektownych okazów tej skarbnicy i niesłyszeliście głęboko naukowych objaśnień nadwornego komentatora.

W ogóle cisza na horyzoncie życia naszego zapanowała. Przebrzmiał odgłos uczty świątecznej, i wszyscy z utęsknieniem oczekują pierwszych promieni wiosny, która przyniesie świeże wrażenia i rozkosze. Ogród Saski zakwitnie niezadługo uroczą zielonością i różnobarwnym tłumem zwolenników i zwolenniczek, tego letniego salonu Warszawy.

Tylko krzyk walki na polu dziennikarskiem przerywa posępną ciszę. A bój wre na dobre, i przeciwnicy co raz nowe wynajdują pociski.

Tymczasem z prowincyjonalnego zakątka ziemi naszej słyszeć się dały słowa, któreby warto złotemi literami wypisać na karcie czynów naszych. Oto co pisze p. G. D. w Kuryjerze Lubelskim.

W drzwi świątyń się cisną tłumami,
Radośnie im serca kołacą:
Zmartwychwstań wołają—my z nim i wołamy,
Zmartwychwstań—zmartwychwstań nam *praco!*

Na krańcach świt szary i niebo poblakło,
Błyskają ogniki śród cieni;
Hej słońca nam trzeba! zmartwychwstań nam *światło*
Niech *wiedza* króluje na ziemi!

Niech kolej dziejowa potoczy się żwawo,
Niech losy szczęśliwe nas wiodą,
Duch bratnio ze wspólną połączy się sprawą,
Zmartwychwstań—zmartwychwstań nam zgodo!

Finis coronat opus! To ostatnie, cośmy zaznaczyli, jest zdaje się najszczytniejsze! Zarzucicie może, czytelniczki miłe, że nie ma tu nic o miłości, która przecież jest jednym z najszlachetniejszych motorów czynności ludzkich. Lecz nie obawiajcie się, łaskawe panie, nie myślimy mroczyć w piersiach waszych świetlanych marzeń, „snów błogich na kwiatach młodości“ byle by one zbytnim lub chorobliwym rozrostem niegłuszyły innych również podniosłych, a utylitarniejszych nieco popędów.

iąc kolorach. Tak się ma szczególniej co do podziału społeczeństwa na kasty. Prawdą jest, iż zwykle syn po ojcu dziedziczył godność czy urząd, że były pewne granice pomiędzy jedną a drugą klasą, ale nieprawdą, żeby ustrój taki obwarowywany był prawem, jak to było w starożytnych Indyjach. Pozostały właśnie ślady nie ulegające wątpliwości, że nawet synowie włościan kończyli nauki w zakładzie najwyższym naukowym, który egzystował w *Ehennu*. Dowodzi tego papyrus znaleziony, na którym ojciec, chłop, pisał list do syna, by wytrwał w naukach, przedstawiając mu smutny stan rolnika. Zanim przyjdzie do żniwa — pisał chłop — to połowę plonu stoczy robak, drugą połowę zjedzą szczury, których jest dużo; później nadciągnie szarańcza, bydło zniszczy skubiąc po trosze, a i wróble niemało ukradną. Nie koniec plag tych, a ty chcesz porzucać nauki i zostać także chłopem? Zastanów się dobrze że i to co zostało na polu, ukraść mogą próżniacy jeźli chłop dzień i noc nie czuwa. Na dobitek przyjdzie pisarz rządowy i zacznie wyduszać podatki. Ci co z nim przybywają grożą pletnią, a czarni niewolnicy mają w pogotowiu kije palmowe. Z daleka już wołają na cię: chłopie, dawaj nam zboże jako dar dla nas!... Praca natomiast uczonego wypłaca się lepiej. Nie namęczy się jak chłop i nie opłaca wcale podatków; zastanów się nad tem mój synu!"

Co do zbytków wielkiego świata, to starożytnemu Egiptowi nie sprostała żadna epoka. Przez życie zbytkowne tonęły ogromne fortuny. W miarę wzrastania zamożności i bogactwa, ustawała chęć do pracy. Utyskuje na to wspomniany autor starożytny w ten sens:

„Wielcy panowie utonęli w drogich kamieniach i misternie tkanych złotogłowiach — żony ich nie myślą wcale o pracy, nic ich nie obchodzi, leżą tylko po całych dniach na miękich sofach. Nie lepiej jednak czynią i mężczyźni.

Skutkiem tego wstrętu do pracy było otaczanie się liczną służbą. I wówczas już skarżono się na służbę, której jak tylko folgowano, uzuchwalała się, kiedy pociśnięto, rozwodzono się ze skargami na barbarzyńskich panów. Współczesny autor pisze o tem:

„Wszystkie niewolnice umieją dzielnie szermować językiem, a panie domu skarżą się tymczasem: O, cóż to za plaga z tą służbą."

Ostatecznym rezultatem wzmagających się zbytków, był upadek społeczeństwa, zwolnienie węzłów rodziny i wyuzdanie. Bogacze Egiptu znaleźli upodobanie w syryjskich i izraelickich niewolnicach, które sprzedawano na rynku. Z niewolnic stawały się faworyty, które rujnowały najmajętniejszych.

Oto maleńki obrazek przeszłości zamierzchłej. W starym Egipcie doświadczono już, że bogactwo bez pracy wiedzie do upadku, że tylko praca, czynność nieustanna zapewnia powagę, poważanie i siłę narodów. S....

KONIEC.

GAWĘDY
o środkach domowych lekarskich i gospodarskich.

IV.

A więc i u was szkaradna pogoda. Deszcz śnieg, i okrutne błoto, zawieja i ponure zimno. Oto początek wiosny — *wielki tydzień* a następnie i święta *wielkiej nocy*. Smutno je też spędziłaś, bo choroby na dobre rozgościły się we wsi. Obok katarów i kaszlów, chrypek i i bólów gardła — i gorączki się ukazują. Gastryczne, mniej są groźne, ale nerwowe zgniłe a zwłaszcza owe zażarte zimnice, czyli febry zimne—te tak pospolite plagi wiosenne naszych wieśniaków, trwogą cię przejmują. Dużo też musiałaś mieć w tym czasie zajęcia; ale przynajmniej trudy twe nie były daremne. Udało ci się przerwać chorobę waszej gospodyni, która przy silnym bólu głowy, takiego dostała zawrotu, że w pierwszej chwili wzięłaś to za zaczadzenie od węgli. Na to ostatnie najlepszem lekarstwem byłoby wyprowadzenie chorego na wolne powietrze, albo okładanie głowy śniegiem lub wodą zimną, lekki ciepły rumianek lub herbata z cytryną. Lecz gdy to nie pomaga, ból z tyłu głowy, zawrót rozpalenie, dreszcze ból w dołku i mdłości trwają uporczywie, trzeba położyć chorą do łóżka, dać parę szklanek lekkiego rumianku, a następnie łyżkę oleju rycinowego w cytrynie: bo szkaradny ten olej możniejszy jest w ten sposób przyrządzony. Wciska się mianowicie w kieliszek czy filiżankę trochę cytryny, tak przyrządzać nauczyłam się od doktora. I rzeczywiście, kto ma do oleju wstręt zbyt wielki, takim sposobem najprędzej go zniesie. Inni biorą go w trosze piwa, herbaty, rumianku i t. p. Można też w klejku, lub rosole dobrze ciepłym— a przyrządzonym w ten sposób: biorę po trosze rosołu lub klejku we dwie filiżanki — w jedną wlewam olej, rozbijam go dobrze i jednym tchem wypijam a zaraz po odetchnieniu piję i z drugiej filiżaneczki. Pamiętaj jednak, że pragnąc aby skutek był prędki — daje się łyżkę oleju, to prędko poruszy, ale przepędza też zbyt prędko przez kiszki; gdy wszakże domyślasz się niestrawności jakiej zadawnionej— a poprzedzonej obstrukcyją, wtedy dawaj olej małą łyżeczką i to co dwie lub trzy godziny, w tejże ilości stosownie do potrzeby. Mała ilość oleju, rozmazuje się, że tak powiem, po kiszkach, zachodzi we wszystkie zakątki i porusza w nich zaległość. Po oleju w jakie pół godziny lub później, daj napić się lekkiego klejku, gdy zaś skutek był dostateczny, dobrze napić się rumianku. Lecz wracając do twojej chorej: — gdy olej dobrze poskutkował, kazałaś zrobić kąpiel na nogi, dodając dowody parę garści soli, trochę gorczycy i popiołu przyrządziłaś ciepłą kąpiel za kostki — a po 20 minutach, kazałaś nogi wyjąć w suche prześcieradło i owinąwszy je włożyć pod kołdrę, aby tam wolno osuczyć zupełnie i dopiero po należytem ogrzaniu się w łóżku, wyjąć prześcieradło. Nazajutrz, ponieważ ból w dołku jeszcze się odzywał kazałaś kłaść okłady z wody gorącej, które w ten sposób przyrządzono: Wzięłaś ręcznik złożyłaś go w kilkoro i kazałaś umoczyć go w bardzo gorącej wodzie i tak umoczony owijano grubą czystą ściereczką i przez nią mocno wyżymano. Takim sposobem ręce zniosą ukrop — a kataplazm będzie tak gorący, że go jeszcze nieraz przestudzać trzeba nim się położy. Położywszy zaś na cały żywot, przykryłaś na wierzch flanelką, bo ta ciepło trzyma dłużej, a potem znów płótnem grubem. Taki układ może leżyć trzy godziny. Kładłaś go chorej powiadasz przez cały dzień, wieczorem kazałaś zaprzestać obłożyć brzuch watą, obwiązać i znowu nogi we wczorajszej odgrzanej wodzie wymoczyć. Poczem dałaś chorej gorącej mocno kwaśnej i słodkiej lemonijady, która sprowadziła pożądane poty i nazajutrz już wszystko było dobrze. Bóle ustały, pojawił się apetyt; lecz prócz klejku, rosołku i lekkiej herbatki nic więcej nie dałaś; piątego zaś dnia — chora twoja wstała z łóżka i potrosze do zwykłych wróciła zatrudnień. A doktór ci powiedział, że z pewnością byłby tyfus, gdyby nie twoja przytomność.

Drugą ważną kwestyją przeprowadziłaś u młodej ekonomowej, której przybył syn, zdrowa i czerstwa dziecina, ale matka jego ciężką przebyła chorobę. Straciła krwi tak wiele, że aż lekarskiej trzeba było używać pomocy, żeby groźniejszym zapobiedz skutkom. W dni kilka — chora uczuła ból w prawym boku, pojawił się któtki suchy kaszel, ból głowy przy kasłaniu rozpalenie z silnym dreszczem, pragnienie i niemoc ogólna — słowem wszystkie symptomata zapalenia płuc, czego się właśnie doktór obawiał. Lecz ponieważ parę już razy widziałaś podobne objawy, przyzwałaś więc na pomoc wszelkie w tym razie używane środki i znowu na pochwałę zasłużyłaś. A najpierw położyłaś chorej, kataplazm z tłuczonego siemienia dobrze ciepły zaczynając pod prawą piersią aż pod łopatkę. Na kataplazm kładłaś także flanelkę bo dłużej ciepło utrzymuje. Dłużej wszakże nad pół godziny do 3-ech kwandransy trzymać takiego kataplazmu nie można. Zawsze jednak na przemianę powinien być drugi, żeby ani chwili nie tracić i nie ziębić chorej tem samem. Obok kataplazmów dałaś chorej za napój ziółka pektoralne. Pamiętałaś żeby żołądek był wolny. Pilnowałaś, żeby powietrze było czyste w izbie, umiarkowanie ciepłe; chora lekko, lecz dostatecznie okryta, dawałaś przytem mleko ciepłe, kleiczek, lekki rosołek nieco barszczem burakowym zaprawiany. Dość, że po dwu dniach takiego postępowania chora uczuła się dobrze. Ustały dreszcze, rozpalenie, zmniejszył się kaszel, przestał być suchym — ból w boku ustąpił zupełnie — i bez doktora zrobiłaś wszystko co potrzeba. Gdy jednak przyjechał w dzień przeznaczony na tygodniowe wizyty we wsi, zaprowadziłaś go do chorej którą zastał bardzo dobrze. Kazał tylko pod łopatką położyć synopizm z gorczycy tłuczonej octem rozrobionej i na płótnie rozsmarowanej, przez pół godziny, bo w tem miejscu dłużej niż zwykłe 10 minut synopizm trzymać można. Gdyby wszelako kaszel był jeszcze suchawy, dobrze dawać chorej ulepku hipekakuanowego rozprowadzonego osłodzonem siemieniem, lub ślazem, które zamiast ziółek pektoralnych za napój dawać można. Dobrze także pić siemie z miodem. Pamiętaj, że powietrze czyste jest

najważniejszym warunkiem dla zdrowych — a cóż dopiero dla chorych, zwłaszcza w chorobach zapalnych, gdzie wszystko dąży do zgnilizny, czyli do psucia się. Pamiętaj więc, aby żadne nieczystości nie przechowywały się po kątach, każ je natychmiast usuwać — a wyziewy powietrza niszczyć, rozsypując po kącikach proszek *karbolowy*, lub polewając takąż karbolową wodą. Nalewać także każ potrosze w naczynia do wypróżnień używane. Proszkiem posypywać jest dobrze bieliznę zanieczyszczoną. Dobrze także za pośrednictwem rurki szklannej rozdmuchywać po pokoju ocet. A co ważna palić w piecu drobnem drzewem po kilka razy na dzień, przez parę godzin, dokładając po parę kawałków, luftów wcale nie zamykać. W razie dłuższej zapalnej choroby, palić ciągle w ten sposób, czy to w piecu, czy też na kominie. Chcąc prędko oczyścić powietrze, w braku zwłaszcza proszku — wlej na talerz okowity, wstaw ją w piec otwarty i zapal. Taki prędki przeciąg, bardzo czyści powietrze.— Posiłek lekki dla ludzi zwłaszcza gorączkowych, stanowi rosołek żółtkiem zaprawny, kleik z rosołkiem, barszczyk z rosołkiem lub kleikiem, a wszystko to najlepiej grzać w wodzie, to jest mniejszy rądelek z temi płynami, wstawić w większy wodą napełniony i dopiero grzać, bo grzany rosół na ogniu robi się coraz słońszy, barwa czernieje, a kleik czerwienieje, czego w wodzie grzejąc unika się zupełnie — Mleko także się rozgrzewa w podobny sposób a kożuch się nie robi. Mleko ciepłe bardzo chorych zasila — trzeba jednak dawać je ostrożnie to jest dobrze gorące podawszy, choremu, dawaj mu małą łyżeczkę. Połykane taką ilością rozchodzi się po kościach, gdy tymczasem wypite duszkiem przerabia się w twaróg, co jest zwykłem następstwem, może sformować duży kłąb twarogowy, którego chory nie strawi. Oto i wszystko co na dziś ci powiem, przepisów dla zdrowych nie dam żadnych. Ostrzegam cię tylko abyś robiąc mazurki piaskowe, smarowała je przed włożeniem do pieca jajkiem a nie masłem, jak to błędnie było wydrukowane. W tych dniach wyszlę ci całą pakę nowych przepisów śpiżarnianych. *J. O.*

MIEJSKIE I PRZEDMIEJSKIE
OBRAZY LWOWA.

(Szkice z bruku, pięter, parterów i suteryn, zarywające niekiedy i o posadzkę woskowaną)

Rysował

Teofil Szumski.

Szuruj i *syp się!* śmieszne to i niedorzeczne nawet wyrazy, a znaczą słowem: idź precz. Posłyszysz je na każdym kroku z ust przedmieszczanina lwowskiego i z ust każdego rzemieślnika we Lwowie. A jednak ludzie tych niektórych przedmieść, milsi mi ze swojem językiem skoszlawionym od nadętego pana obywatela, w samem mieście. Tu jest jeszcze wiele swojskości, w mieście pojęcia spaczone, życie ni to niemieckie systematyczne, ni stare pełne animuszu serdecznego. Dla tego wracam jeszcze na Żelazną wodę.

Stała sobie chata na pagórku, chata pod strzechą w sadzie, na lewo był wąwóz niewielki za którym las, i do dziś jeszcze siekierą nietknięty, ale z chaty już ani śladu.

Miasta na chacie znać było tyle, że okienka były większe, że nie były zabite, ale otwierały się, a wnętrze jej nieco schludniejsze i zawierało kilka sprzętów, które widziały niegdyś politurę.

W tej chacie mieszkał krawiec z rodziną, ale robót jego nie potrzebowało nigdy miasto a pan Makohoński, znowuż odwzajemniając się nie potrzebował także miasta. Szył dla przedmieszczan i wiodło się, tembardziej, że był właścicielem chaty, sadu i kilku morgów nad rzeczką, potoczkiem, którego z pewnością nie znajdziecie na żadnej mapie, a który mimo to wpada do sławnej rzeki Pełtwi, nie spławnej prawda, ale zatruwającej Lwów swojemi wyziewami.

Ale pan Makohoński był miłośnikiem miodu i spijał się często jak nie krawiec, uchodziło to czas jakiś, aż raz i zaszkodziło, gdyż zaziębił się spiwszy, a zaziębiwszy umarł.

— Kiedyż umarł nieboszczyk — opowiadał tak pan Iżyk — to wdowa *wzieła*, taj wyniosła się *niewieć* po co do miasta.

— A co wzięła mości Iżyk?

— Ta to się tak tylko mówi — odpowiedział zagadniony i prawił dalej. Dość że wzięła, taj poszła do miasta na mieszkanie z dziećmi, a było tego czworo. Chatę komuś tam wynajęła. A bodaj was, ta niechaj was, mówiłem jej, po kiegoż licha wam miasta? Powiada, żeby lepiej pokierować dzieci jakby to i stąd była ukraina daleka do szkoły. No, ale wola jej, zamknąłem gębę, bo jeszcze mi rzekła za dobrą radę: sypcie się, sypcie odemnie. Aż ono tamtego roku chata zaczęła się walić, nikt już nająć nie chciał i taki wrócić musiała sama, ale wprzód przejadła w mieście, co nieboszczyk zostawił. Połowa chaty upadła prawie, w drugiej połowie mieszkała, ale zarobić już tyle niepotrafiła co nieboszczyk. Dobry to był majster, niech mu Pan Bóg da niebo — ja ot do dziś mam kapotę co mi uszył.

Troje dzieci gdzieś tam rozdała po ludziach, została się z jedną najstarszą Barbarą. Dobre to było dziecko, a i dziś pewnie musi to być dobra *gospodynia*, choć nie dawno jak za mąż poszła.

Nim poszła za mąż nie zwracał pan Iżyk uwagi na jej narzeczonego, ale młodzież Żelaznej wody, znała całą historyję.

Młody narzeczony panny Barbary był szewcem ze Lwowa, zwał się Michałem i prócz rąk do pracy i serca, które kochało jak kochał Romeo, choć Michał był tylko czeladnikiem szewckim — nie miał nic zresztą. Prawda miał nadzieję wielką, że otworzy sam warsztat, gdyż od czasu nowej ustawy w Austryi wolno każdemu pracować na własną rękę, co się nazywa „wolnością zarobkowania.“

Notabene wielka nadzieja, wielka miłość i wielka odwaga, ożywiała pierś wątłą, w ciele nie wielkiem, w postawie pociesznej, gdyż czupurnej. Maleńkiej figurce odpowiadała i twarzyczka jak u chłopczyka 14 letniego — a pan Michał był już jednak pełnoletnim. Gryzło go niezmiernie, że wąsy nie chciały porość nad górną wargą pod nosem i że brano go na funduszzwąc „czeladniczkiem.“ Ażeby sobie wynagrodzić tę zniewagę i utrzymać przecie jakąś powagę, Michał postrzygał włos krótko, zostawując tylko nad czołem dłuższy nieco, z którego formował czubek pocieszny. Ztem wszystkiem były to dość sympatyczne rysy twarzy.

Z wielu rzeczy powszednich nie zdają sobie ludzie sprawy choć roją o nich. Tak i pan Michał. Wyobrażał sobie, że urządzi dom skromny, ubogi nawet, ale że mu tam będzie dobrze. Słowem ideałem, o którym nie wiedział że istnieje — było dlań ubóstwo spokojne, poprzestające na tem, co mieć można, byle regularnie. Jest to zadanie trudne nawet dla większych ludzi, a tu myślał o niem tak maleńki człowieczek.

Na kilka miesięcy przed ślubem szli oboje z Basią do miasta w niedzielę. Ona, wyższa o głowę od niego, była czegoś zadąsana, jemu serce się krajało i zagadnął:

— Ja wiem, za co się pani obraziła.

— Oho! już pani! ale dla czego?

— Że nie posłałem na imieniny biletu z powinszowaniem.

— O nie, nie, ani mi to *w myszli* — odrzekła Basia.

— Ale ja... ja, nie myśl Basiu, żebym nie myślał o tobie.

— Doprawdy?

— Z pewnością, i napisałem nawet powinszowanie, tylko ten szelma Jaremczuk wyśmiał moje wiersze, dla tego nie śmiałem już posyłać.

— No, to pokażże mi teraz — rzekła zaciekawiona Basia.

— Umiem je na pamięć.

> Racz przyjąć *słów* moich najszczersze wyrazy
> I życie moje obudź jednem słowem,
> Bo serce moje jest dotąd bez straży
> A serce dla cię poświęcić gotówem.

Basia oblała Michała zimną wodą.

— Wiesz Michale, lepiej ty szyj buty a nie rób *wierszów*, bo ja tego nic a nic nie rozumiem.

— O jakaż ty niepojętna.

— Niepojętna, to nie, bo czemuż ja rozumiem wszystkie wiersze, kiedy grają w teatrze Balladynę?

— E! to co innego. Co tam zresztą gadać o tem. Ot powiedz za co ty się gniewasz?

— Za to, że nie *puściłeś* dotąd o swoim warsztacie w *gazetach.* (Puścić coś albo kogoś w gazety, znaczy u przedmieszczan i mieszczaństwa, ogłosić o jakiemś przedsiebierstwie na ostatniej stronnicy dzienników.)

— Nie puściłem, prawda, ale nie mogę jeszcze, bo mi nie przyszło pozwolenie z magistratu.

— Otóż to, a za kilka miesięcy ma być nasz ślub.

— Nie turbuj się, będzie. Pozwolenia co no nie widać.

Jakoż istotnie za kilka miesięcy odbyło się wesele. Pan Michał wprowadził żonę pod wspaniale wymalowany szyld, przyczepiony do lichego domku na jednej z niepokaźnych ulic Lwowa. Tem lepiej wydawał się szyld. Ale

za to mieszkanie i warsztat, pożal się Boże. Jedna izdebka ciemna dla młodego małżeństwa, i jedna o małem oknie na śmietnik podwórzowy, przeznaczona na warsztat. Smutny to był widok dla oka, ciężkie powietrze i zatęchłe wilgocią dla piersi. Cóż z tego, kiedy Michał czuł się szczęśliwym. Nie odebrało mu wiary wychowanie, bo się sam wychował prześpiewawszy wiek młody nad szydłem, młodkiem i na posyłkach; nie odebrali mu jej ludzie, bo ich nie znał ciągle pracując, a odwagi dodała gorąca miłość.

W kilka miesięcy po weselu przyszła dawna Basia a teraz pani Michałowa na Żelazną wodę do matki. Obstąpiły ją dawne towarzyszki z zapytaniami?

— A dobrze ci? Jak ci się powodzi?

— Czy kocha cię jeszcze twój mąż tak jak dawniej?

— Jeszczeby też — odparła z dumą Basia, żeby nie kochał.

— Ale czy dobry?

— Ba, ba — pracuje po całych dniach, nie pije, nie traci, a co zarobi mnie oddaje. To nie tak, jak wasi mularze, co przepiją zimą zarobek z lata.

— Szczęśliwa! szczęśliwa! odezwały się z kilku stron głosy niewieście.

— Otóż, jak to nie wiele trzeba do szczęścia, a! i wielu ludziom.

Inną jest fizyjognomija przedmieścia Łyczakowskiego.

Tu aż ku rogatce — nie chaty ale dworki, tylkoż mieszkańcy ich nie warci i chat obywateli z za Żelaznej wody.

Pieniacze zawołani i próżniacy!

W domu tylko dzieci, czasem żony, ale panowie w karczmach.

— Niech mnie tu zaraz *szlag* trafi (szlagiem zowią apopleksyją) — ta niech mnie trafi, jeźli go nie zaskarżę jutro do sądu.

Tak woła za stołem w szynku i bije pięścią o stół pan Czubaty, właściciel kilku ogrodów domu i nieużytków na wydmach piaskowych w tej stronie miasta.

Jegomość ten barczysty, w granatowej za kolana kapocie, ogorzały blondyn z brzydkim nosem jak kułak, świecący białkami oczu, na twarzy ma szkarłatne rumieńce, i jest na czole czerwony od zbytecznego zapijania wódką każdéj kłótni sąsiedzkiej i każdoczesnej zgody.

— Albo nie, nie, nie będę skarżył, ale tego hultaja *puszczę w gazety.*

Tak dodaje po chwilowym namyśle pan Czubaty, a idzie w tem w ślady społeczeństwa miejskiego, które opanowała manija jakaś załatwiania spraw wszelkich, przez pośrednictwo ogłoszeń dziennikarskich. Został kto pobity na ulicy, ogłasza w gazetach; ma co do żądania od dłużnika, wzywa go ogłoszeniem; chce kogoś spotwarzyć plotką, sieje ją w ogłoszeniu; szuka żony, pisze oświadczyny miłosne, dziękuje publiczności, że raczyła zebrać się licznie na pogrzeb — najdroższej żony, donosi przyjaciołom o wyjeździe, zawiadamia o powrocie i t. p. i t. p.

Przedarła się też i do przedmieść wiadomość, że tanio można załatwiać wiele interesów przez ogłoszenia i rozpoczęło się „puszczanie w gazety“ — rekreminacyje.

— Tak, tak — przyklasnęli towarzysze kufelkowi, panu Czubatemu — puścić w gazety pana Macieja.

— Cóż on wam zrobił? pyta dalszy sąsiad.

— Oto! świnia jego wywróciła mi cały zagon do góry nogami.

— Ale nie było nic na zagonie, *taż* to jesień.

— Było czy nie było, ale zagona nie ma — odrzecze pan Czubaty słaniając się.

— Przecież go świnia nie zabrała z sobą do chlewa.

— Co wy mi tam brzdąkacie! — obruszył się pan Czubaty czekając tylko okazyi i puścił szklankę mierząc w głowę swego oponenta.

Ten uchylił się, ciosu uniknął, ale czekał widać tylko zaczepki, gdyż oddał panu Czubatemu blaszaną miarą. Krew pociekła, walka zawrzała, uformowały się dwa obozy i bójka przeniosła się aż na ulicę. Stąd jedna strona, trzymająca z panem Czubatym, rejterowała się zwolna do jego domu. Tu na podwórzu przybył sukurs w żonie Czubatego, która słysząc wrzawę, wybiegła na nieprzyjaciela z pralnikiem w jednej ręce a w drugiej z kilkoma sztukami bielizny mokrej; wybiegło też i dwóch synków nieodrodnych pana Czubatego. Starszy słynął ze sprytu wyłowiania gołębi sąsiadom i hodował ich setkami, młodszy hodował ptastwo i prowadził handel ściągając klatki jak swoje, gdzie mu się która nawinęła.

Kiedy jeszcze walka wrzała w podwórzu zacięta, wypadł z ogrodu parobek oznajmując wielkim głosem, że świnia pana Macieja znowu zagon wywraca.

Na to dowódzca wyprawy, zostawił szeregi bez komendy i poleciał w ogród klnąc:

— Chybaby mnie szlak trafił, żebym tej bestyi nie powiesił na suchej wierzbie.

Jakoż ku wielkiej pociesze młodszego synka, zawisła świnia na zeschłem drzewie, na miedzy pana Macieja.

Czyn ten wywołał trzecią kohortę, która po sprawdzeniu czynu na miejscu, udała się także do szynku.

Pokrzywdzony pan Maciej, więcej jeszcze wyglądający z waszecia i czując silne plecy sąsiadów za sobą, wystąpił z przemową.

— Pięknie, pięknie panie Czubaty, toż to gwałt, rozbój wierutny to, coście wy zrobili. Ja tego nie daruję, jak Bóg w niebie. Zaraz dziś idę do adwokata i będzie proces.

— Co to straszyć darmo—odrzecze Czubaty—proces, to proces, o wa, wielki mi strach! Mnie tam znają wszędzie.

— A znają was i w kryminale!

Na taki despekt, porwał się pan Czubaty znowu do bójki, ale go jakoś powstrzymano. Powaśnione tylko i podchmielone strony, świadki scen udały się natychmiast ku miastu.

Przez drogę krzyczał pan Czubaty: puszczę tego łotra w gazety—a pan Maciej powtarzał trzeźwiejszy nieco:

— Wsadzę go do kryminału, o wsadzę!

ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ

ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH

KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

Leokadyi P....

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XXXVIII.

Skała przeskoczona.

Serce jak młotem biło nam z niespokojności, tak przynajmniej mogę powiedzieć o sobie. Rube obserwował gerylasów, starając się iżby go ciągle dokładnie widzieli, a ja oczy wlepiałem w skałę, ale nie mogłem niestety rozpoznać jakie czynił postępy nasz przyjaciel, w swojej niekoniecznie bezpiecznej podróży. Nadstawiłem ucha żeby coś posłyszeć, zdawało mi się żem odróżniał jakby lekkie stąpanie które co chwila oddalało się dalej i dalej. Garej, muszę nadmienić, miał na nogach plecione sandały i szelest jaki one sprawiały był za słabym, ażeby dojść do nieprzyjaciela.

Ciemność, zdawała nam się jakoś bardzo długą, chociaż nie trwała więcej nad pięć minut. Gdy błysnęło na nowo, rzuciłem żywo okiem ku szczytom pochyłości, i zobaczyłem że Bill był zaledwie na pół drogi. Przyciśnięty do ściany z rękami wyciągniętemi prostopadle, wyglądał jak ukrzyżowany. Podczas gdy błyskawica step oswieciła, zatrzymał się i stał nieruchomy jak same skały.

Spojrzałem się z wielką obawą w stronę gerylasów lecz nie posłyszałem żadnego głosu nie postrzegłem żadnego poruszenia pomiędzy niemi. Dzięki niebu nic nie dostrzegli urwisy.

Tuż przy miejscu na którym się był Garej na chwilę zatrzymał, w szczelinie skały rosły karłowate krzaki cedrowe, a ciemne ich liście nakrapiały że tak się wyrażę powierzchnię jakimś deseniem co czyniło osobę śmiałego rycerza mniej łatwą do rozpoznania.

I nastąpiła znowu ciemność a po niej znowu błysnęło światło.

I znowu przebiegłem górę oczami, ale postaci ludzkiej nie zobaczyłem na ścianie. Spostrzegłem tylko liniję czarną niby cienką a długą rysę, która się wiła od góry aż do dołu—był to sznur ciągnący się za Garejem, który zdrów i cały dostał się już na wierzchołek.

Teraz na mnie przychodziła kolej, bo Rube chciał do ostatka, sam pozostać na niebezpiecznem posterunku.

Byłem dawno już w pogotowiu, teraz karabin przewiesiłem na ramie, szepnąłem kilka słów na pożegnanie mojemu dzielnemu Moro, i przycisnąłem moje usta do jego aksamitnych nozdrzy.

Skoro tylko błysnęło światło, uchwyciłem arkan wiszący wzdłuż ściany i rozpocząłem pielgrzymkę.

Sznur teraz był już przywiązanym jak się należy albo podtrzymywanym w silnych rękach Gareja.

Ta pomoc uczyniła moję podróż znacznie mniej trudną, wspinałem się dosyć stosunkowo łatwo z jednego szczerbu na drugi, i zanim zabłysło na nowo, docierałem już do celu.

Gdy dostałem się na miejsce, położyliśmy się z Garejem na brzuchach pomiędzy krzakami, co rosły nad brzegiem przepaści, i ukryliśmy się jak było można najlepiej.—Linka przywiązaną była silnie do około małego drzewka.

Za chwilę nowe szarpnięcie oznajmiło nam; że Rube kolej swoję zaczynał—a wkrótce mieliśmy go już przy sobie.

Zmęczony, bez tchu prawie położył się nie mówiąc ni słowa.

Pomimo ciemności dostrzegłem coś niezwykłego w jego fizyjonomii.— Głowa mianowicie wydała mi się daleko mniejszą jak zwykle, ale nie było czasu na zapytania. Czekaliśmy aby błysnęło, a gdy to się stało rzuciliśmy okiem na gierylasów. Wszyscy byli na swoich miejscach, nic a nic nie wiedząc jakiegośmy niezwykłego dokonali manewru. Czapka Ruba zręcznie umieszczona na odłamie skały, utrzymywała ich w tem błogiem przekonaniu, że ciągle jesteśmy w tem samem miejscu.— Ta okoliczność wytłumaczyła mi zarazem przyczynę owej szczególniejszej powierzchowności, w jakiej mi się wydał poczciwy strzelec stepowy.

Skoro sobie stary wypoczął, ściągnęliśmy linę i zaczęli czołgać się po płaskiem szczycie skały aby wyszukać dogodnego miejsca do dostania się na dół.

Niedługo odnaleźliśmy to co nam potrzebne było, odnaleźliśmy drzewa rosnące przy brzegu i znowu przywiązaliśmy doń linę.

Ale dużo jeszcze pozostało do zrobienia, zanim jeden z nas mógł znowu pochód rozpocząć. Ściana skały wyżej ma jak sto łokci wysokości i spuszczać się z niej po linie było niepodobieństwem. Żaden z nas pojedynczo nie był wstanie nic podobnego wykonać. Jednemu łatwo by zejść przyszło przy pomocy drugich, mogłoby to się udać i drugiemu, ale ostatatni któryby sam pozostał...

Moi towarzysze byli na szczęście ludźmi wielkiej przytomności umysłu, to też przyszedł im niebawem do głowy zaradczy w tych trudnościach, konpcet.

Wyciągnęli noże wyszukali długiej tyki, pocieli ją na małe kawałeczki, te ponacinali i poprzywiązywali w pewnych odstępach na całej długości liny, tak że w mgnieniu oka drabina Jakóbowa była do użytku gotowa.

Zostawało się jeszcze przekonać czy długość liny była dostateczną, bo węzły skróciły ją nieco. W tym celu przywiązaliśmy mały kamień do jednego jej końca, rzucili go z góry, a nadstawiwszy ucha, posłyszeliśmy niezadługo głuche uderzenie kamienia padającego na grunt porosły trawą. Lina dosięgała do samego stepu.

Wciągnęliśmy ją z powrotem, odwiązali kamień a uwiązali Ruba. Ponieważ był on najlżejszym jegośmy więc wybrali na wyprobowanie siły liny, o której powątpiewaliśmy jeszcze. Kiedyśmy po niej włazili do góry, utrzymywała zawsze tylko połowę naszego ciężaru bo nogami, opieraliśmy się o ścianę skały albo o wystające szczerby. Dostawszy się na ziemię Rube miał zbadać najdokładniej wytrzymałość drabiny, poczem z Billem mieliśmy sprobować zejść na dół. W tym celu Rube miał on do wagi swojej dodać jeszcze duży kamień, aby wiedzieć czy może być bezpiecznym Garej ze wszystkich nas najcięższy.

Wszystko to sobie ułożywszy stary strzelec zesunął się spokojnie z brzegu przepaści przy pomocy mojej i Gareja, którzy puszczaliśmy linę wolno z wielką ostrożnością.

Stopa za stopą, cal za calem pomału z rąk się naszych odwijały, przy ciągłej naszej baczności żeby się opuszczać stopniowo i równo, żeby nie szarpać a tym sposobem nie uderzać za silnie o skałę, korpusem towarzysza.

Siedzieliśmy jeden przy drugim z twarzą zwróconą w stronę stepu. Już przeszło trzy czwarte sznura przesunęły się nam przez ręce i mieliśmy nadzieję ujrzeć wkrótce pomyślny skutek naszych usiłowań, gdy nagle ku ogromnemu przerażeniu naszemu posłyszeliśmy szczególniejszy trzask i jednocześnie jęk u stóp skały.

Zerwaliśmy się co tchu na równe nogi i poczęli machinalnie ciągnąć sznur w górę, ciężaru już jednak nie było przy nim, bo szedł lekko bez żadnego oporu. Zaniechawszy roboty spojrzeliśmy na siebie, nie na to atoli żeby się zapytać co znaczy ten wypadek.

Nie potrzebne były wyjaśnienia... Rzecz była zanadto jasna lina — pękła a nasz przyjaciel runął na ziemię. Powodowani jednem uczuciem rzuciliśmy się na kolana, iżby się na brzeg zaczołgać i spojrzeć na dno przepaści. Nic dojrzeć nie było można musieliśmy więc czekać cierpliwie póki światło błyskawicy nie rozjaśni ciemności.

Przysłuchiwaliśmy się tylko uważnie. Jęk jaki do nas doleciał nie był jękiem śmiertelnym, a teraz prócz żałosnego wycia wilka żaden nas głos niedochodził. Gdyby choć ten sam jęk bolesny jeszcze się z raz powtórzył — powitalibyśmy go z radością jako dowód, że przyjaciel nasz żyje jeszcze. Ale ciągle głuche trwało milczenie.

Kawał czasu upłynął za nim pokazała się błyskawica, ale w trakcie tego posłyszeliśmy szmer jakichś głosów na dole. Zdawało się jakby tuż gdzieś pod nami rozmawiały dwie osoby, jednakże nie poznawaliśmy w nich głosu trapera. Te głosy pochodziły od nieprzyjaciół naszych...

Światło błyskawicy pozwoliło nam obaczyć rozmawiających. Było to dwu konnych, kręcących się po stepie, pod naszemi nogami i przy samej ścianie góry.

Zobaczyliśmy ich doskonale, ale nie spostrzegliśmy tego cośmy się spodziewali zobaczyć, nie spostrzegliśmy ciała naszego przyjaciela. Ruba nie było na dole.

Dwaj kawalerzyści o jakich mowa, byli uzbrojeni w lance ale nie mieli żadnej przy sobie zdobyczy. Niepodobna iżby schwytali oni biednego trapera, bo Rube choćby ranny nie pozwoliłby wziąć się tak łatwo, a tymczasem nie słyszeliśmy ani krzyku ani wystrzału.

Wkrótce ochłonęliśmy też z obawy.

Rabusie ciągnęli dalej swoję rozmowę a lekki wietrzyk unosił głos ich do góry tak, że mogliśmy z łatwością pochwycić treść rozmowy. Widocznie, rzekł jeden niecierpliwie, musiałeś się omylić.

— Kapitanie jestem pewny że to był głos ludzki.

— W takim razie musiał to być głos jednego z tych urwisów ukrytych, po za skałą. No tutaj przecież niema nikogo.

— Ale chodźmy zobaczmy z drugiej strony skały.

— No to chodźmy...

Odgłos kopyt końskich objaśnił nas, że zabierali się do objechania skały, a to stosownie do projektu ednego z nich mianowicie zaś P-a dowódcy — P-a Rafaela Iżurry.

Ucieszyliśmy się niezmiernie zasięgnąwszy języka że Rube kochany nie popadł w ręce tych potępieńców... Z resztą nie mieliśmy najmniejszego pojęcia o krzywdzie jaką mógł sobie wyrządzić. Spuściliśmy byli linę na sam dół prawie, Rube zabrał większą jej część ze sobą a w zamieszaniu powstałem wskutek wypadku, nie spostrzegliśmy wiele jej nam w ręku zostało.

Skoro Rube skryć się potrafił, widocznie więc nie był poranionym niebezpiecznie.

Ale jeżeli oddalił się nie zbyt daleko, wróg mógł jeszcze napaść na niego.

Czekaliśmy z Garejem z tem większą niespokojnością że gerylasy posłyszeli jego okrzyk i że go poszukiwali, a na stepowej płaszczyznie nie zbyt trudno dać się dopatrzeć.

Postanowiliśmy przesunąć się na przeciwną stronę wierzchołka, i ztamtąd śledzić poruszenia kawalerzystów i znowu uklękliśmy ku czemu nam głos rozmowy ich pomagał. Stali oni oczekując widocznie na powrót błyskawicy, my także po nad niemi czekaliśmy na to samo a byliśmy od siebie na odległość strzału karabinowego.

Możnaby ich wyrzucić z siodeł, szepnął mi Bill po cichu.

Wachałem się co na to odpowiedzieć, bo właśnie powziąłem nadzieję pewniejszego oswobodzenia Ruba.

W tej chwili nowa jasność zabłysła na horyzoncie—a dwaj jeźdzcy zarysowali się nam wyraźnie.

Byli obecnie o jakie piećdziesiąt najwyżej od nas kroków, i mogliśmy ich na pewne wziąść na cel.

Kusiło mnie co prawda jednakże aby posłuchać rady Gareja.

Na raz przecież zobaczyliśmy jakiś przedmiot, na który podnieśliśmy nasze karabiny, gotowi dać ognia.

Ten przedmiot to korpus Ruba.

Tak Rube to leżał na ziemi wyciągnąwszy ręce i nogi w całej swojej długości a twarz ukrywszy w trawie.

Z wysokości z którejśmy go obserwowali wyglądał jak skóra bawoła, silnie wyprężona i przybita do ziemi. Nie było to ciało trupa, ciało nieżywe nie mogłoby nigdy utrzymać takiego położenia.

Powód dla którego stary traper zachowywał taką postawę przyszedł nam od razu do głowy, zakołatały nam serca z obawy, gdy światło błyskawiczne rozpraszało ciemności. Osobistość przylepiona do ziemi była także zaledwie o jakie pięćdziesiąt od nas kroków, ale chociaż doskonale widzialna z miejsca w którejeśmy się znajdowali, nie musiała być widzialną dla tych co się kręcili po stepie, bo gdy

znowu ciemność nastała posłyszeliśmy jak powracali z poza drugiej strony, skały a Iżurra ponawiał swoje powątpiewanie co do podejrzeń swego przybocznego kamrata.

Było to wielkie szczęście dla P. Iżurry i dla jego kompana że nie odkryli formy ludzkiej rozciągniętej na stepie, było to szczęście dla Ruba i dla nas wszystkich razem.

Pozostałem z Billem na tem samem co przedtem miejscu i oczekiwaliśmy nowej znowu błyskawicy.

Kiedy się ukazała nie zobaczyliśmy już skóry bawolej, tylko z dala bodaj o jaką milę odległości zdawało nam się iż ta sama figura leżała znowu rozciągnięta na ziemi, ale nie mogliśmy zawierzyć na pewne naszem oczom.

Z tem wszystkiem jedno było co nas obchodziło najwięcej, stary strzelec żył i umknął.

ROZDZIAŁ XXXIX.

Posiłek.

Pierwszy raz po spotkaniu się z gerylasami odetchnałem swobodnie i uwierzyłem w to prawie, że się nam nic złego nie stanie. Garej podzielał moje przekonanie i nie potrzebuję dodawać, żeśmy znowu przebyli wierzch góry ale prędzej i ze lżejszem sercem.

Naturalnie że nie myśleliśmy już o uskutecznieniu zejścia z kawałkiem sznura jaki nam pozostał w ręku, a jaki teraz był bezużytecznym. Powróciliśmy tylko na brzeg aby śledzić gerylasów i nie pozwolić o ile będzie można zbliżyć się im do naszych koni, w razie gdyby spostrzegli żeśmy opuścili naszę pozycyją po za odłamem skały.

Byliśmy daleko niespokojniejsi teraz o te nasze bydlęta bośmy się mniej obawiali o siebie. Łatwe to zresztą do pojęcia. Kiedy życie było na włosku, kiedy każda chwila mogła być ostatnią chwilą na świecie, Moro i biały rumak musiały zejść na plan drugi. Teraz kiedy poczułem się pewniejszym trochę troska o przyszłość powracała na nowo i myślałem zaniepokojony, czy ocalę Mora i tego który mnie wyciągnął w tę niebezpieczną próbę a za schwytanie którego słodka mię oczekiwała nagroda.

Niebezpieczeństwo minęło i za parę godzin będziemy jak ptaki wolni dowodził Garej, bo Rube dostanie się do wioski i lada chwila przybędzie z pomocą.

Miało to wszelkie cechy prawdopodobieństwa ale faktem jeszcze nie było. Może już szeregowcy nie znajdują się tutaj — może oddział postąpił dalej, może, bo byliśmy przednią strażą rozkazano jej się cofnąć, może Rube został schwytanym i zabitym. To przypuszczenie ostatnie najmniej nas niepokoiło bośmy dużo na zręczność starego liczyli. Jeżeli oddział jest w miejscu albo nawet gdzie dalej, Rube dotrze do niego nad ranem, a niechby jeszcze udało mu się schwycić gdzie po drodze konia — ho — ho! wkrótce zmieniłyby się rzeczy zupełnie. Holingsworth nie czekając wyższego rozkazu dałby mu kilku ludzi, a to by dostatecznem było do tej sprawy. W najgorszym razie było w obozie dosyć maruderów, których nie potrzeba długo namawiać na podobną wyprawę. Nie mogliśmy więc wątpić żeby nasz przyjaciel nie przybył z posiłkiem.

Jego powrót mógł nastąpić jeszcze przed wschodem słońca, chociaż mógł się także opóźnić do nastąpienia nocy. Ale była to okoliczność małej wagi na teraz. Mogliśmy się trzymać w naszej nadpowietrznej fortecy przez jaki miesiąc a choćby dłużej nawet, bo oblegający mimo sił przeważnych, nic nam stanowczo zrobić nie mogli.

Nie potrzebowaliśmy się też obawiać ani pragnienia ani głodu. Łaski losu spłynęły na nas obficie. Na szczycie skały znaleźliśmy sposób zaspokojenia pierwszego i zapobieżenia drugiemu.

Przechodząc płaską powierzchnią pagórka potknęliśmy się o ogromne kaktusy, które tu rosły w ogromnej obfitości.

W oka mgnieniu Garej wyciągnął swój nóż i jedna z najgrubszych łodyg została obraną ze swojej kolczastej powłoki, a po ścięciu główki, zrobiliśmy sobie rodzaj filiżanki z tej soczystej masy,

W minutę zaspokoiliśmy pragnienie z tego źródła pustyni.

Z równą łatwością znaleźliśmy możność zaspokojenia głodu. Tak jak się tego spodziewałem przypatrując się skale z dołu, owem zielonem drzewem które tam rosło, obficie były sosny, a ich owoc a raczej ziarnka tego owocu, są bardzo pożywne. Lepsze były by pieczone ale bacząc na okoliczności musieliśmy na surowych poprzestać.

Nie trzeba sie dziwić że z podobnemi zapasami na teraz a tak wielkiemi nadziejami na przyszłość, nie potrzebowaliśmy się obawiać wściekłości naszych nieprzyjaciół.

Leżeliśmy ciągle śledząc każde ich poruszenie, i gotując się do obrony naszych koni.

Światło błyskawicy ukazywało nam ich ciągle na tem samem miejscu. Jeden z każdej grupy był na koniu, drugi pieszo chodził ciągle po pustej luce pomiędzy przerwami kordonu. Środki ostrożności były z ich strony zręcznie przedsięwzięte, nie bylibyśmy w stanie wymknąć się im z rąk podczas ciemności.

Burza zaczynała się uspokajać a błyskawice stawały się coraz rzadsze. Zadumaliśmy się jakoś o tem co dalej będzie gdy w tem odgłos kopyt końskich doszedł nas z daleka. Był to tentent odbijający się na twardym gruncie stępu.

Po echach tego głosu człowiek obyty ze stepem może odgadnąć czy konie idą luzem, czy też niosą na sobie jezdzców, to też mój towarzysz zapewnił mnie, że tu ten ostatni zachodzi wypadek.

Gerylasy usłyszeli łącznie z nami te echa, dwóch oddaliło się zaraz galopem na zwiady, my jednakże nie mogliśmy nic z tego się dowiedzieć, bo wśród ciemności nic na sześć kroków przed sobą rozróżnić nie było podobna.

Odgłosy o jakich mowa stawały się coraz wyraźniejsze, nieznani jeźdzcy zbliżali się w stronę skały.

Ten wypadek nieoczekiwany nie obudził w nas żadnej nadziei, boć Rube nie mógł się jeszcze dostać do wioski. Nowymi przybyszami musiał być El-zorro i jego spólnicy.

Nie zostawaliśmy długo w niepewności. Jeźdzcy się zbliżyli i zamienili z oblegającemi okrzyki pozdrowienia i radości, a konie rżały z jednej strony i z drugiej, jak gdyby także znały się oddawna.

Wtedy błyskawica zajaśniała znowu, i ku wielkiemu zdziwieniu naszemu, spostrzegliśmy nie tylko El-zorro ale z nim jakich trzydziestu jeszcze świeżych. Przeraziło to nas trochę, lubo tentent tylu koni przygotował nas był już do tego odkrycia. No, teraz to już zapewne zaatakują naszę pierwszą fortecę po za odłamem skały i zabiorą nam konie. Prócz tego pomoc jaką nam Rube przyprowadzi, może się okaże za małą w obec siły tak imponującej. Ale jak znowu dosyć pospiesznie przekonaliśmy się o tem, wróg nasz nie myślał rozpoczynać napadu. Wzmacniał tylko siły kordonu, podwajał szyldwachów i przedsiębrał inne środki oblężenia.

Widocznie uważano nas za dzikie zwierzęta których ani drażnić ani poruszać nie warto. Domyśleli się że nie od parady mamy ze sobą pistolety i karabiny, postanowili więc zwyciężyć nas głodem.

d. c. n.

Przegląd Teatralny.

Intryga i miłość, tragedyja w 5 aktach Fryderyka Szyllera, przekład M. B. (przedstawiona po raz pierwszy na benefis p. Modrzejewskiej.

W niższej sferze twórczości poetycznej widzimy ucieleśnienie idei, potężne niekiedy, lecz bez owego olbrzymiego blasku, który, jaśniejąc porywającemi barwami genijuszu, tyle w sobie gromadzi niewygasłych promieni, iż wiecznie świeży i młodzieńczy zjawia się przed wzrokiem ducha naszego. Za to kraina potężnej twórczości olbrzymów odkrywa nam prawdy, których głos doniosły nad wiekami całemi ulata, coraz nowym odzywając się tonem. Myśl późniejszych pokoleń odkrywa w nim różne dźwięki, a wiecznie harmonijne z duchem ludzkości, bo z wiecznie młodego ducha jej zrodzone. Zaiste prawdziwy genijusz tylko może wznieść się do takiej potęgi, ażeby z piedestału swego, promienie wielkiej idei od pokolenia do pokolenia przesyłać Na szczyt ten wzniósł się niezaprzeczenie wielki dramaturg niemiecki. W młodzieńczej fazie swej twórczości, Szyller ukazuje się nam, jako wrzący, ognisty, nieokiełznany zimną analizą gienijusz, który z łona swego wylewa ognistą lawę namiętności, żrącą wszystko, co przed szlachetną duszą poety zjawia się w ciemnych barwach nicości moralnej. To potężny głos ducha rewolucyjnego, szał protestu, objawiający się w dzikich i gwałtownych porywach, druzgocących wstrętne bożyszcza przeszłości. Duch wieszcza przelatuje nad zapleśniałą kałużą świata z jasną pochodnią prawdy, z gorącem a zabójczem tchnieniem grzmiącego słowa, burząc posągi zbrodni i podłości. Niezadowolniony z ówczesnego ustroju społecznego, to chłoszcze go biczem szyderczej satyry, to grozi ponurym głosem przekleństwa. Odkrywając głęboko rozdarte rany niedoli i ucisku, wieńczy je nimbem męczeństwa i sil-

nym głosem protestu sprawiedliwości się domaga.

W jednym z pierwszych utworów swej dramatycznej muzy wielki wieszcz Germanii odkrywa ciemne barwy na tle ówczesnego życia społecznego, ukazując zarazem przyćmiony ich siłą promienny blask cichej cnoty i poświęnia. Pogwałcone prawa ludzkości występują na arenie walki dramatycznej. Poeta przedstawia nam dwie sfery: wyższą, która, panuje siłą despotycznej władzy, depcząc fizyczną przemocą niższą warstwę społeczną, a z drugiej strony jasne barwy życia tej ostatniej. Odzwierciedlając ówczesną epokę dziejową, pod wpływem namiętnej tendencyjności zbyt przesadnemi może rysami uwydatniał blade cienie na horyzoncie ówczesnego życia. Widzimy tu całe mrowisko pełzających gadów, które nikczemnem swem cielskiem przygniatają cierpiące masy. Intryga, podłość, despotyzm i niecne służalstwo zarazem tworzą jednę, pełną wstrętnych obrazów, całość moralną. Najbardziej uwydatniającą się w tej sferze postacią jest prezydent Walter, brudny i okrutny ulubieniec jednego z drobnych książątek niemieckich. Chciwy godności i dostojeństw, dąży do nich po drodze zbrodni i podłości, nie bacząc, czy pod silnemi stopami nie zajęknie skrwawione serce ludzkie. W środkach nie przebiera; wszystko musi ustąpić mu z drogi, byleby cel był osiągnięty. A tym celem jest wyniesienie się do najwyższych godności.

Syn prezydenta Ferdynand ma być ofiarą na ołtarzu, bożyszczu temu poświęconym.

Dla otrzymania wpływu na dworze monarchy, trzeba było ożenić Ferdynanda z faworytą księcia. Niegodny ojciec nie waha się zaznaczyć piętnem hańby czoło własnego syna. Widzimy tu więc dzikie pogwałcenie świętych węzłów rodzinnych.

Z drugiej również strony nie mniej jest ono widocznem. Ferdynand wie o nikczemności i zbrodniach, które posłużyły ojcu do wywyższenia się i w szorstkim wybuchu postanawia w oczy mu je wyrzucić. Obraz zaiste pełen wstrętnej tragicznej grozy. Świętości rodzinnego życia upadają pod druzgocącą dłonią genijalnej twórczości, aby upadkiem swym silniej uwydatnić tendencyją poety. Z dziwną też śmiałością przekracza tu Szyller granice zasady etycznej. Należałoby osłabić nieco szalone porywy namiętności i złagodzić zbyt jaskrawy koloryt poetyczny. Gdyby te ponure obrazy wynikały z nieubłaganej konsekwencyi dramatycznej, wtedy przenikając grozą swoją, ukazałyby nam tylko niezbłagane wyniki logiki życiowej. Za przykład posłużyć tu może scena, kiedy przyprowadzony okrucieństwem ojca do najwyższego stopnia szału Ferdynand, grozi mu publicznem wykryciem zbrodni, pragnąc tym sposobem powstrzymać go od shańbienia niewinnej kochanki. Inne sceny starcia między ojcem i synem służą jedynie za cel do silniejszego uwydatnienia głównej dążności utworu.

Na tle jasnego i pogodnego życia rodziny mieszczańskiej, rysuje poeta kilka wysoce artystycznych postaci. Prostą lecz szlachetną jest dusza starego Millera,— szorstka nieco w chwilach uniesienia a czuła i tkliwa w wylewie uczuć serdecznych. Ukochana córka stanowi dlań jedyną pociechę, jedyny cel życia. Na łonie jej pragnie złożyć skołataną głowę, przy gorącej piersi dziewczęcia odżyć życiem szczęścia i radości. Ludwika to nieodrodna córa Germanii. Sentymentalna miłość jej unosi się w idealnych błękitach i napotkawszy przeszkody w rzeczywistości, zwraca się w świat wyższy—nadziemski. Uczucie marzącej dziewicy nie przyoblekło się w szatę ziemskiej namiętności, lecz wolne od jej tchnienia, zwraca się wiecznie w sferę czysto duchowych uniesień. W wrzących i potężnych słowach wylewa ona niebiańskie pragnienia swego serca, lecz raz zaledwie w dramatycznym ukazuje się blasku, kiedy poświęca własną miłość dla wybawienia ojca.

Z taką dziewicą złączył się serdecznym węzłem miłości syn dumnego prezydenta. Innem jednakże uczuciem wrzała pierś młodziana. Gorzał w niej ogień silnej, ziemskiej, podniosłej zresztą namiętności. Postać to w ogóle daleko skąpiej uposażona przez poetę. Ferdynand to młodzieniaszek, pełen niepowściągnionego zapału i szlachetnych porywów. Ugodzony w najczulszą strunę serca, szamocze się, zżyma, odgraża, nie umie jednakże zapanować nad wrogą sobie potęgą i wystąpić do umiejętnej z nią walki. Przytem dziwnie łatwowierny, traci w jednej chwili wiarę w cnotę kochanki. Nie radzi sobie, jak dojrzały mężczyzna, nie porusza wszystkich sprężyn dla odkrycia prawdy, lecz żąda wyznania jej z ust mniemanej winowajczyni. Główną tu sprężyną intrygi scenicznej jest sekretarz burmistrza Wurm. Jest to jedna z owych niskich, pełzających w błocie postaci, jakie w różnorodnej formie w wielu utworach napotykamy. Jak zręczny, a nie wybredzający w środkach intrygant, człowiek ten staje się prawą ręką Waltera w niecnych jego sprawkach. Postać to narysowana jaskrawemi barwami, uwydatnia jasno wrogą siłę podłości, pełzającą zwolna pod stopami ofiary, póki nie uwięzi jej w sidła piekielnej intrygi. Potwór ten zasmakował w smacznym kąsku dziewiczej piękności mieszczańskiej córy. Zawiedziony jednakże w swych nadziejach, cofa się z jadem nienawiści i pragnieniem zemsty w sercu. Od tej też chwili staje się on główną osią intrygi, w skutek której na pogodnem niebie cichego życia ubogiej rodziny zagrzmiały nagle gromy nieszczęścia. W chwili, gdy ambitny prezydent zaplanował na dobre związek syna z faworytą księcia, brudny intrygant odkrywa przed nim miłosne jego związki. Wiadomość ta pobudza do wściekłości dumnego magnata. Zrywa się jak lew, i bieży zdeptać śmiałków, którzy śmieli stanąć na drodze jego zamiarów. Spada niespodziewaną burzą w cichy zakątek ubóstwa i w okrutny sposób znieważa kochankę syna.

d. n.

ŚLADY ŻYCIA.

XIV.

Tyle życia, ile... w c z y n i e.

W krótce piśmiennictwo nasze zbogaconem zostanie przekładem z języka angielskiego znakomitego dzieła *A. Baida*. *„Logika indukcyjna i dedukcyjna.“* Dotychczas brak podobnego rodzaju pracy ogromnie czuć się daje. W dziedzinie logiki nie mamy ani jednego prawie oryginalnego lub tłomaczonego dzieła któreby odpowiadało najnowszemu postępowi nauki. Czy nie można by się postarać również o przekład *„Psychologii“* tego autora. Praca to wprawdzie z przyczyny nieustalonej terminologii trudna i mozolna i potrzebuje specyjalisty, obeznanego wszechstronnie z przedmiotem. Czyżby jednakże w gronie pracowników naszych nie znalazły się niezbędne do tego siły?.

Sfera pracy kobiecej zwolna lecz widocznie już rozszerza się u nas, wchodząc w różnorodne sfery działalności społecznej. Jedna z pań tutejszych wspólnie z młodą panienką, jak donosi Kuryjer Warszawski, mają zamiar założyć w mieście tutejszem interes komisowy na wysoką skalę. Podobnego rodzaju śmiałe i niepraktykowane dotąd przedsięwzięcie winno zyskać należyte uznanie i naśladownictwo.

A propós pracy kobiecej. Jednym z najstosowniejszych dla delikatnej rączki niewieściej zatrudnień jest introligatorstwo. Tymczasem mało bardzo znajduje się u nas zwolenniczek tego rzemiosła. Czyż nadobne niewiasty nasze obawiają się splamić białe rączki brudnym klajstrem lub zakrajać nożykiem? Praca to wprawdzie nie zbyt pod względem materyjalnym opłacająca się, lepsza jednakże stosunkowo od wielu innych zajęć, jakim dotychczas poświęcały się kobiety.

Co się niedzieje niektóre obywatelki nadwiślańskiego grodu udają się w daleką pielgrzymkę do obcych krajów, aby tam zbogacić skarbnicę swej wiedzy. Niektóre z nich pracą i energiją dochodzą do tego oto wysokiego celu. Niedawno fakultet filozoficzny uniwersytetu w Zurichu przyznał stopień doktora filozofii rodaczce naszej p. *Stefanii Wolickiej* za rozprawę p. t. *„Społeczne stanowisko kobiety w Grecyi.“* Widoczna więc, że i córy grodu naszego umieją zabłysnąć w umysłowej sferze emancypacyi kobiecej.

Piękna legenda o żydzie wiecznym tułaczu pobudzała oddawna umysły poetyczne do odtwarzania tej postaci wzniosłej, sympatycznej a tak zagadkowej. Powiastki i obszerne romanse, liryki i małe epopeje w znacznej liczbie krążyły około żyda tułacza, starając się co raz to nowszą stronę poetyczną lub filozoficzną wynaleść. Pomiędzy utworami poetycznemi krytyka wyróżniła jeden niedawno wyszły a jednak już w *dziesiątym wydaniu* pojawiający się poemat *Hammerlinga* p. n. *Ahasver w Rzymie.* Ahasver, Ahaswerus jestto, jak wiadomo nazwa nadawana legendowemu Żydowi. Hammerling wybrał jednę z najbardziej dramatycznych chwil historyi rzymskiej a nawet historyi ludzkości w ogóle t. j. chwilę panowania Nerona i pierwszego prześladowania chrześcijan. Na tle tego wspaniałego wątku osnuł poeta niemiecki szereg obrazów, przedstawiających ówczesne stosunki Ahasvera ze światem, z ludzkością; starając się uwydatnić zasadniczą ideę, która nam Żyda tułacza wyjaśnić jest w stanie.

Utwór ten, jak dowiadujemy się z pewnego źródła, tłumaczy p. F e l i k s J e z i e r s k i, który już niejedne arcydzieło literaturze naszej

przyswoił. Serdecznie mu życzymy i wytrwałości i powodzenia! W obec emeferycznych wierszydeł, pojawiających się jako utwory oryginalne, dobrze jest przynajmniej w tłumaczeniu zapoznać się z prawdziwą poezyją.

Z pod Łasku w Piotrkowskiem.

Już to rok mija od chwili kiedym po raz ostatni do was pisał. Nie mając pod dostatkiem materyjału do uwydatnienia dodatnich cech miejscowego naszego życia, a z drugiej znów strony widząc z doświadczenia, że występowanie publiczne w celu *wyłącznie* karcenia ujemnych, drażniąc jeno nieświadomie nieraz błądzących, wyradza ich w świadomie niepoprawnych: wolałem wyczekiwać chwili, w którejby objawy tutejszego życia wyszedłszy z swego dotychczasowego starcia; ułożyły się do równowagi, lub, co jeszcze pożądańsze, okazała się przewaga po stronie ruchu postępowego. Jakkolwiek daleko nam jeszcze do tej ostatniej, postaram się zebrać kilka rozpierzchłych tu i owdzie rysów naszego prowincyjonalnego zakątka, zdradzających jeźli nie życie w pełni swojego rozwoju, to przynajmniej niejakie jego ślady w pochodzie ku lepszemu.

Już to, jakem kiedyś zaznaczył, miasto Łask i jego okolica, nowo przybywającemu do nas dosyć przedstawiają się ożywione. Samo miasto, względnie do swej wielkości ludne i handlowe, posiada w swych murach, dzięki zbiegowi szczęśliwych okoliczności, dość stosunkowo tak zwanej miejscowej inteligencyi. Należałoby tylko sobie życzyć, aby ta, bardziej łącząc się z sobą i solidaryzując, większy wpływ wywierała na ogół. Spójnikiem podobnej łączności stać się z czasem może świeżo przez p. J. Michałowicza, otwarta ajentura spółki kolportacyjnej i niemal jednoczesne urządzenie zbiorowemi miejscowemi siłami, pod nadzorem tegoż p. Michałowicza, czytelni dla miasta i okolicznych ziemian. Energija z jaką ten ostatni projekt podniesionym został dowodzi istnienia u nas jednostek dobrej woli i zacnej tendencyi; ale szybkość z jaką p. Michałowicz zdołał myśl swą przeprowadzić i w czyn przyoblec dowodzi czegoś więcej. Słuszne uznanie należy się tu ogółowi, który powodowany obywatelską myślą stworzenia źródła pożytecznego zajęcia i światła, nietylko że projektowi upaść nie dał, ale jeszcze tak chętnie dopomógł do jego urzeczywistnienia.

Na ów ogół, we wszystkich zakresach tak indywidualnego jak i zbiorowego życia, nic tak nie działa, jak *przykład*. Dość licznie już u nas przykłady zawiązywania się podobnych czytelni po innych zakątkach kraju, podawane przez prasę do wiadomości publicznej, działały i tu nader pobudzająco. Czym jest prąd elektryczny w naturze, tym jest przykład w życiu społecznym. Na tej drodze wpływ prasy jest nieobliczony w następstwa. Nie bez interesu też będzie dla was wiadomość dotycząca ilości prenumeratorów różnych czasopism Warszawskich. Otóż do Łasku, stacyi pocztowej, przychodzi 10 exemplarzy Wieku, 8 Gazety Polskiej, 6 Warszawskiej, 3 Kłosów, 3 Bluszczu, 3 Opiekuna Domowego, 10 Przeglądu Tygodniowego, 3 Tygodnika Ilustrowanego, 2 Biblijoteki Warszawskiej, że pominę specyjalne pisma rolnicze, t. j. Gazetę i Tygodnik, oraz Kuryjery, których to pism także mamy po parę egzemplarzy.

Niwa tylko sama, ma jednego prenumeratora i to w osobie waszego korespondenta, a szkoda; nie jest bowiem znów taką pedantką, aby nie miała zasługiwać na szersze koło czytelników co się jej z wielu względów a głównie rodzinnego kolorytu i cechującego ją obecnie ducha umiarkowania, słusznie należy. Jaka to szkoda, że pierwej nad innemi, nie przyszło jej na myśl obciążyć się balastem *Biblijoteki najcelniejszych arcydzieł, lub Panteonu wiedzy ludzkiej.* Ale powróćmy do przerwanego wątka.

Kiedy tak klasa oświeceńsza mieszkańców jednego z prowincyjonalnych miast naszych, urządza stosownie do możności, już to stowarzyszenia i banki, już tylko czytelnie dające każdemu sposobność pożytecznego spędzenia niejednej wolnej od obowiązkowych zajęć chwili: o klasie niższej t. j. tak zwanych mieszczan i rzemieślników mało kto dotąd myśli. Czyby coś podobnego nie dało się urządzić i dla onej prostoty, marnującej bezmyślnie tyle drogiego czasu po szynkach przy kuflu piwa lub półkwaterku okowity, topiącej nieraz na ich dnie, resztki swego człowieczeństwa. Mało też u nas dotąd zwrócono uwagi na demoralizujący pod tym względem wpływ żydowstwa. Jak z jednej strony pożądaną byłoby rzeczą, skierowanie się naszej młodzieży na pole handlowo przemysłowej działalności w celu odebrania żydom handlowego monopolu, uniemożebnieniaim tym sposobem zbytniego do miast naszych napływu: tak ze strony drugiej, chcąc w przyszłości znieść odrębność cech tego plemienia, życzyć by nam sobie należało, skierowania go zwłaszcza ku zajęciom rolniczym. Nic tak nie przywięzuje i nie przeistacza człowieka na lepsze — jak praca około ziemi. Byłoby to nawet obustronną korzyścią: rolnictwo zgodnie z duchem czasu, stałoby się więcej przemysłem, dzieci zaś starego zakonu nabrałyby więcej cech, charakteryzujących nowożytno-miejscowy cywilizacyjny pierwiastek.

Cała waga żądania leży właśnie w trudności jego przeprowadzenia. O ile pierwsza jego połowa, wymaga pewnego jeszcze wykorzenienia zastarzałych w tym względzie przesądów, oraz specyjalnego wykształcenia w szkołach handlowych, — o tyle druga, ściśle warunkując się pierwszą, nie może się obejść bez pewnego współdziałania i zachęcającej inicyjatywy ze strony Władzy krajowej. Nie przestając dzwonić na to nabożeństwo, miejmy nadzieję, że jedno i drugie prędzej czy później musi nastąpić. Konieczność spełnienia tego zadania żywimy ustawicznie w naszej pamięci, bacząc, że tak dla ekonomicznego jak i moralnego dobra jest nam ono niezbędne. A jednak dziś nic nie jest w stanie wzruszyć podstawy na jakiej się usadowili żydzi po naszych miastach. *Miasto* a w nim jakikolwiek *gescheft* byle gescheft — oto ich żywioł. Nie przeraża ich dotąd ani głód ani powietrze ani woda, ani ogień. Że nie przestrasza ich ani ogień, świeży macie przykład na naszym Łasku.

W krótkim stosunkowo przeciągu czasu dwa pożary to trochę za nadto. Zniszczyły one z pewnością $^{2}/_{3}$ części domów zamieszkanych wyłącznie przez miejscową ludność starozakonną. Czy jednak sądzicie, że aby jedna jej familija skutkiem tego przeniosła się za obręb miasta. Bynajmniej, a to pomimo panującego tu już od dawna ścisku ludności. Do takich warunków jeźli jeszcze dołączy się, czego broń Boże, nie przychylny stan powietrza podczas niedalekiej pory letniej — śmiertelność może przybrać rozmiary zatrważające. Jeszcze jeden taki fajerwerk pożarowy, a Władze miejscowe nie znajdując pomieszczenia, będą siłą konieczności zniewolone nas opuścić. I zważcie w takim razie, coby to była za strata dla okolicy! Miałożby wyschnąć źródło, skąd ożywcze promienie ładu i porządku rozchodzą się po gminach, gdzie odbite w tysiącznych pryzmach, w zdumienie wprawiają nieświadomych.

— Kto śmie wspominać o gminach — słyszę głos surowego sędziego pierwszej i ostatniej instancyi.

— Kto mówi, żem słaby, żem drżący? — pyta swego sługi, dręczony wyrzutami sumienia Franciszek Moor w zbójcach Szyllera.

Ha! trudno; nie przestaniemy jednak ubolewać nad możebnością upadku naszego powiatowego miasta Łasku, jakiby je spotkał w razie wydalenia się zeń Władzy skutkiem trzeciego pożaru. Podczas pierwszego ognia, w ogólnej epoce tej klęski podczas lata roku zeszłego, zgorzało kilkadziesiąt domów o czem wiecie; ale któżby był przypuścił, że przed miesiącem miało się to powtórzyć, o czem nie przypominam sobie byście wiedzieli?..

„Stało się! Trudno po czasie żałować; płaczmy, lecz niechaj:. poszkodowani starając się powetować swe straty, spieszą z odbudowywaniem zniszczonych wielu posesyj. Ba! gdyby to tak łatwo było wykonać, jak się da powiedzieć! Oto jeden dom nowo wymurowany (wprawdzie nie na pogorzelisku, bo z przeciwnej strony miasta) stoi już z pół roku... bez dachu. Mury całe i dobre; właściciel tyle poniósł kosztu na samo pod dach wiązanie, i pytamy, czemuż go nie pokrywa? Ale bo właśnie cały węzeł gordyjski mieści się w tem wiązaniu, które jak się pokazało o trzy cale (!) nad sporządzony anszlag, za wysokie. I pocóżeś obywatelu budował, podczas kiedy anszlag nie mógł się namyśleć, czy ma wyjść czy zostać w Piotrkowie. Trzeba było poczekać nań lepiej do czasu... aż się cała spalona część miasta odbuduje.

Wierzajcie mi, że świadomość własnego położenia i potrzeba reform, tkwi już obecnie w znakomitej większości. Usiłowania w nowym kierunku istnieją i gospodarstwa choć zwolna, ale się podnoszą; pomiędzy ziemianami mamy już bardzo wiele inteligentnych, szukamy nowych dróg, aby wyjść z tego ciężkiego ekonomicznego kryzys, w jakim znaleźliśmy się tak niespodzianie przed laty kilku: gdybyście jednak widzieli trudności i znali bezpośrednio warunki, w jakich się odbywała praca, nie dziwilibyście się, sądzę, zbyt powolnemu jej rozwojowi. Trudno o jednym dniu i w obec nie przyjaznych a nie zależnych od woli jednostek okoliczności, stawić gmach, na który cegły przez całe lata gromadzić należało.

Dziś więc pracując *jak możemy*, wraz z Wami powtarzamy sobie za Brodzińskim: „Czyń każdy w swojem kółku co każe duch Boży, a całość sama się złoży:“ Szkoda tylko że są między wami, którzy, chociaż w zasadzie przyznają słuszność powyższej maksymie, nie odczuwają jednak, jak nieograniczone uczucie bratniej miłości musiało kierować ręką, która ją nakreśliła. Maczają oni swe pióra w żółci i occie, chcąc nasze społeczeństwo reformować zjadliwą satyrą. Zaprawdę! nie ta jest droga poprawy. Toż przecie siła ducha czasu jest nie przepadłą; działajmyż więc zgodnie z jej kierunkiem, ale wiedzmy że nie wszystko znów jest tak bezwzględnie dobrym, co ona nam przynosi, że „kto umie przeglądać całość, ten wie iż pożytek i szkoda tak się wiążą nawzajem, jak para wężów w piekle Danta;“ wiedzmy wreszcie, że nie od razu Kraków zbudowano, że wszystko musi się rozwijać konsekwentnie i organicznie. Nie tak to łatwo, jak się wydaje na oko. Ażeby dopiąć celu, potrzeba na to nie tyle wrzawy i *na złe* gniewu, ile miłości *dobra*, cichej a niezmordowanej dłań pracy i cierpliwości. Bez tej ostatniej nic się nie zrobi. Mówią, że łatwiej zburzyć niż zbudować. Prawda, ale postępując niektórych z was drogą, nie tylko zbudować, ale i zburzyć nie łatwo. Gwałtowne bowiem natarcie i zapamiętałe w gniewie podeptanie przeciwnika (choćby nawet przeciwnikiem tym był wstrętny nam przesąd i obłudny jezuityzm), miasto pogardy, budzi dlań zwykle w masach żal i litość, przez co, zamiast *nigdy* niemożliwe natychmiastowego, tryumfu prawdy, oddala, a często nawet na długo uniemożebnia niewątpliwe jej przyszłe zwycięztwo! *M. D.*

ROZMAITOSCI.

Historyja rozbójnika Koczuja. Przed laty trzydziestu, w Kałudze, podrzucone zostało pewnemu mieszczaninowi dziecko. Mieszczanin wziął takowe na wychowanie, lecz sąsiad żołnierz Łarion Petrow, który nie miał dzieci, wszczął z mieszczaninem spór, iż chłopczyk podrzucony został nie przy domku mieszczanina, lecz przy domku jego, to jest żołnierza. Sprawa doszła do sądu, który uznał rozszczenie Łarjonowa za słuszne i chłopiec zapisany został do rodziny żołnierza jako kantonista. Dziecko wzrastało i swą żwawością radowało rodzinę. W śiódmym roku już się zrobił z niego taki zabijaka, że dzieci sąsiednie przechodzić koło niego nie mogły, a sąsiedzi przepowiadali czupurnemu malcowi niezbyt wesołą przyszłość. Wkrótce przepowiednie zaczęły się ziszczać: w 10-m roku życia, kantonista Aleksy Łarjonow, praktykował rzemiosło złodzieja specyjalnie, że tak powiemy. Sąsiedzi rady sobie dać nie mogli. Porywał wszystko, co mu wpadało pod rękę, a przybranemu ojcu widocznie przypadała do gustu ta działalność malca, ponieważ rzeczy ukradzione oddawano Łarjonowi, który używał nabytku tym sposobem zyskanego, jak potrafił i chciał. Podówczas już malec otrzymał przydomek, który przy nim pozostał: Koczuj. Nazwano go tak, ponieważ zyskawszy samoistność, przepadał na dni kilka z domu i powracał częstokroć nie z próżnemi rękoma. Praktyka doskonaliła młodego pracownika; rozszerzając swą działalność, przybierał sobie towarzyszów, i w piętnastym roku życia stał już na czele regularnie uorganizowanej bandy, składającej się z 17 ludzi. Cała ta banda ubierała się jednakowo, mieszkała w stałych mieszkaniach i posiadała pistolety, noże i inne narzędzia, niezbędne niekiedy dla jej przemysłu specyjalnego. Cała Kaługa i powiat wkrótce poczuły niedogodność z powodu tego nowo utworzonego towarzystwa, lecz nic poradzić nie było można.

Kierunek działalności odznaczał się nadzwyczajnym taktem, a istniała w niej taka łączność, że jeśli który z towarzyszów zostawał ujęty, sprawa na nim się zaczynała i na nim kończyła: bandy nikt nie wydawał. Nareszcie udało się jakoś ująć małego herszta. Sądzono go i skazano na jakąś karę. Kara, ma się rozumieć, wytrzymaną została mężnie, a jeźli z niej coś skorzystano, to bezwątpienia, tylko postanowienie prowadzenia rzeczy ostrożniej, aby nie być schwytanym. Lecz w 18-m roku Koczuj, znów dostał się w ręce sprawiedliwości i skazany został na zesłanie do Syberyi. Zesłanie, z powodu małoletności i choroby, zamienione zostało na dożywotnie więzienie. Koczujowi znudziło się i zaczał starać się o zesłanie. Jakoż udało mu się osiągnąć spełnienie życzenia. Wysłany został do Syberyi, lecz zbiegł ztamtąd i przybył znowu do Kaługi do swej matki, która pochowała już męża i wyszła za mąż za jakiegoś kupca. Rodzina w całym składzie przeniosła się do Moskwy, a tam Koczujowi otworzyło się obszerniejsze pole działalności. Przedewszystkiem, utopiwszy mieszczanina Aleksego Jegorowa, zyskał sobie pasport, którego brak przedstawiał dla niego wielkie niodogodności, a zapewniwszy sobie za pośrednictwem niejakiego Kartaszewa, urzędnika zarządu mieszczańskiego, możność regularnej zmiany pasportu; osiedlił się jako najzupełniejszy obywatel. Na Aleksieja Jegorowa wypadło iść do wojska. Koczuj dał za siebie ochotnika, poczem znów żył sobie przyśpiewując „zajmując się rozbojami i kradzieżami:“ Niekiedy schwytano go ale zawsze potrafił się wykręcić. Raz jednakże przesiedział w więzieniu pięć miesięcy. Wypuszczono go stamtąd, ale znów był ujęty; sądzono go, osądzono, skazano na zesłanie wyprawiono na Sybir, lecz w drodze namówił pewnego mieszczanina do pomieniania się z nim na nazwisko, za umówioną zapłatę.

Rzeczywisty Gorszkow poszedł za Koczuja na Syberyję, a Koczuj, pod nazwiskiem Gorszkowa poszedł do Podolska, gdzie istotny Gorszkow był transportowany do miejsca urodzenia. Łatwo pojąć, iż niedogodnem mu było stawić się do zarządów włościowych; zbiegł więc strożom zarządu policyjnego konwojującym go na miejsce zamieszkania i powrócił do Moskwy, gdzie pod dawnem nazwiskiem Aleksego Jegorowa wstąpił jako robotnik do pewnej fabryki cukru. Roztropny, rozsądny, „uczciwy“ wkrótce zyskał ufność, której rezultatem było niedorachowanie się pięciu beczek cukru oraz zniknięcie zręcznego robotnika. Około tego czasu, w Moskwie i powiecie, zaczęto dokonywać rabunki, kradzieże, zabójstwa zasługujące na uwagę częstokroć z powodu śmiałości i zręczności. Policyja zbitą była z tropu, chociaż wiadomo jej było, że wszystko to robi banda i że na jej czele stoi zbiegły z Syberyi Koczuj... Lecz wszystko ma się rozumieć, udaje się do czasu, i Koczuj nareszcie ujęty został: sam przyszedł po paszport do domu prywatnego, schwytany został i teraz siedzi w więzieniu moskiewskiem, modli się czyta psałterz i przedstawia się jako zupełnie upokorzony grzesznik.

* * *

Osobliwsze samobójstwo. W Paryżu, kupiec zbankrutowany nazwiskiem Grédelot, w niezwykły sposób odebrał sobie życie. Pozamykał hermetycznie okna i komin w swoim sypialnym pokoju, otworzył kurek od rurki gazowej, znajdującej się w tymże pokoju, poczem wyszedł w celu ostatniego uporządkowania swoich interesów. Za powrotem do domu o godzinie siódmej wieczorem, nie dając nic poznać po sobie, prosił odźwiernego, żeby mu pozwolił na chwilę zapalonej świecy, poszedł na schody i trzymając światło w lewej, a klucz w prawej ręce, otworzył drzwi do swego pokoju. W tej samej chwili okropna eksplozyja wstrząsnęła całym domem, morze płomieni buchnęło ze drzwi i potrzaskanych okien. Mieszkańcy domu powybiegali z mieszkań i znaleźli Grédelota okropnie popalonego, leżącego na ziemi, bez przytomności, której już nie odzyskał i w kwandrans później ducha wyzionął. Szkody zrządzone przez eksplozyją w domu mają być nie wielkie.

Дозволено Цензурою.—W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.